# KILKA GODZIN W ULMIE.

Trudno opisać wrażenie ciekawości i uszanowania, jakie odbieramy zbliżając się do miast dawnych, które odgrywały ważną rolę na politycznéj i społecznéj widowni, wtedy już kiedy grody inne, dziś nieporównanie świetniejsze, nie wychyliły się jeszcze z kolebki pierwotnych swych dziejów. Takiemi są miasta dawnéj Rzeszy niemieckiéj, gęsto rozsypane w środkowéj Europie, takim wśród dawnéj Szwabji i Frankonji położony Ulm. Pociąg kolei żelaznej przywiózł nas tam koło jedenastej zrana, malowniczą okolicą ze Stutgardu; czekając na pociąg drugi, można było do godziny czwartéj pozostać, jakże nie zostać było, aby się pokłonić cieniom średniowiecznéj potęgi, jak nie przyjrzyć się miastu, które zachowało jeszcze na swém obliczu wieków piętno. Katedra ulmeńska, to cały poemat ar-



Stary dom w Ulmie.

chitektury i rzeźby, pisany gorącą wiarą wieków średnich z tą subtelnością w szczegółach i ozdobach, co zdaje się lękać, żeby ją o brak gorliwości nie posądzono. Wrażenie jakie czyni, zblakło jednak nieco pod chłodniejszem tchnieniem protestantyzmu. Napróżno piedestały opuszczone przez wygnanych świętych są arcydziełami snycerstwa, napróżno 56 bocznych ołtarzy, rzeźbionych z drzewa, wyglądają dopełnienia swej majestatycznej piękności, światła, woni kadzideł, złocistych szat i wzniesionych dłoni kapłana odprawiającego najświętszą ofiarę; teraz głównym punktem jest tu kazalnica, obok zaś wielkiego ołtarza, który sześć wysokich okien oświecają wpółkolu, zastanawiają znakomicie rzeźbione wXV wieku stalle, a każda z nich przedzielona od drugiéj figurą wziętą ze starego lub nowego testamentu, nawet pomiędzy filozofami starożytności. Po lewej stronie są postacie męzkie, po prawéj kobiece. Nad stallami w szeregu ozdób równie rzeźbionych z ciemnego drzewa są takież postacie tylko mniejsze, gdy zaś te, które pomiędzy stallami wsparte wychylają się aż na kościół, są prawie naturalnej wielkości. I tak, po stronie lewej widzimy Liwiusza Kwintyliana, Senekę, Cycerona, Pitagoresa i td. wszystko twarze poważne, piękne, wyrazem mądrości, rozwagi i tém tchnieniem artyzmu, który je stworzył. Z tych ponurych, majestatycznych postaci, wieje wspomnienie czasów, już zdawna w zmierzchu wieków zapadłych, nie zachwyt jednak, lecz bardziéj podziw rodzi się w duszy patrzącego. Szczególniéj bo też i weszliśmy do tego ogromnego ulmeńskiego kościoła. Był już zamknięty, gdyśmy się doń zbliżyli, a jego wieże wieżyczkami nastrzępione, jego cała zewnętrzna budowa, rodząc podziw, obudzała zarazem pragnienie zajrzenia do wnętrza. Dopytaliśmy się nareszcie o organistę; jadł właśnie obiad z rodziną. Wyłożyliśmy powód naszych odwiedzin, co usłyszawszy córka jego, smukła i roztropna niemeczka w fartuszku i krótkich rękawach, wzięła pęk kluczy przerażającej wielkości i zamiast do kościoła, zaprosiła nas do wnętrza swego mieszkania. Myślimy sobie co to będzie, aż tu skrzypnęły drzwi najmniejsze i najmniéj pozorne i ukazał się przed naszemi oczami cały ogrom przepysznego kościoła. Był to widok, do którego nas najmniej przygotowała woń kartofli i piwa, napełniająca izby organisty. Tymczasem wyuczona panienka, zaczęła przed nami recytować jak pacierz, historję kościoła. Pokazała groby możnej rodziny Besseresów, przepyszne tabernaculum, które jednak przesadą ozdób grzeszy i wszystko co tylko w krótkim przeciągu czasu uwydatnić się dało.

Ratusz ulmeński jest także ciekawym dawnego budownictwa zabytkiem, tudzież nieopodal niego piękna fontanna. Tu i owdzie spotkasz jeszcze prastare domostwa; szyldy nie są tablicowe, ale w kształtach odpowiednich rzemiosłu, które przedstawiać mają, kołyszą się na żelaznych sztabach, lub w niszach na rogach domów ustawione, nadają im nader ciekawą dla dzisiejszego oka fizjognomię. Wiek XIX nic tu jeszcze nie przerobił na swoje kopyto. Słowem, Ulm wśród wieńca fortyfikacji, będących dziełem bieżącego stulecia, jest zajmującem przypomnieniem przeszłości, która się ztąd w żaden sposób wyrugować niedała, choć świetność miasta minęła dawno. Ze stu tysięcy mieszkańców liczy ono czwartą część zaledwie; niegdyś miasto cesarskie, potężna sama w sobie rzeczpospolita, dziś forteca obronna Związku niemieckiego, strzegąca przystępu za Dunaj, z lewej strony rzeki wirtemberskie, z prawej zaś bawarskie miasto, ufortyfikowane staraniem Austrji, żeby ją strzegło od francuzkich zachcianek, wygląda trochę jak macoszyne dziecko, o które nikt nie dba i ono też nawzajem o drugich nie wiele.

„Być może (powiada pan Duruy, dzisiejszy minister oświecenia we Francji), że przeszłość dla tego tylko podoba nam się tak bardzo, że już umarła, co nam daje wszelką swobodę wskrzeszać ją za pomocą własnéj wyobraźni i wykazać dowodnie, że należało jéj się umrzeć,“ być może, powtórzymy z panem ministrem, który się wypiera poczucia artystycznego i marzycielstwa, a jednak doznaje téj samej rozkoszy co my wszyscy, skoro rozbudzona w nas fantazja, przypinając stubarwne skrzydła twórczości, maluje nam cudne obrazy wśród głębin czasu i przestrzeni.

Na załączonej rycinie przedstawiony jest sklepik piekarza, w jednym ze starych domów ulmeńskich, sklepik zamknięty z całą podejrzliwością średnich wieków. Bułka chleba wychylała się dopiero na świat, za położeniem pieniędzy odpowiadających jej wartości, w małym otworze okna, który się ciągle otwierał i zamykał. Dziś bankierzy a szczególniej paryscy, stosy złotéj i srebrnej monety układają w nęcący sposób po za szybami swych okien, a nie można doprawdy zaznaczyć wiele nadużyć z tego powodu. Słusznie jednak na ten obyczaj *strojenia* okien, powstają francuzkie dzienniki, zdarzyło się bowiem kilka wypadków, że ten który nie miał chleba, stłukłszy szybę w rozpaczliwym obłędzie, sięgnął po złoto tych, którzy go mieli za nadto. Jednak mała ilość podobnych wypadków już na korzyść naszych czasów przemawiać może.

I znów przekroczyliśmy mury i wały fortyfikacji, a oryginalny obrazek, wykrojony z dziejów starych Niemiec, znikł dla nas bez śladu, niby jeden z malowniczych widoków *camera obscura*, po którym oczy zwracają się zdziwione ku dzisiejszemu życiu. Tak i my spojrzawszy na zegar dworca kolei żelaznej, po której mieliśmy pomknąć w dalszą drogę do Bawarji, jednym rzutem stanęliśmy wśród potrzeb i trudów obecnej chwili i obejrzawszy nasze tłomoczki, porzucone dość niedbale przez pociąg ranny, zdążyliśmy zaledwie przed

ruszeniem wieczorowego, posilić się cokolwiek i wypić wybornego ulmeńskiego piwa, którego sława rozchodzi się równie szeroko, jak niegdyś wybijane w mieście pieniądze, o których mówiono, że cały świat obiegają. *Ulmer Geld, geht durch die ganze Welt.*

*J. Dobieszewska (Śmigielska).*

---

# PRZYGODY
# KS. MARCINA LUBOMIRSKIEGO.

Według autentycznych źródeł

opowiedział

**Władysław Chomętowski.**

---

(*Ciąg dalszy*).

XXXI.

Strata syna zraniła głęboko serce Marcina, dziecko to było jedynym węzłem, który go łączył ściśle z domem i rodźiną, charakter jego, jako też żony był zbyt gwałtowny i namiętny, ażeby mógł być pewną rękojmią szczęścia. Księżna Honorata nawet za życia syna lubiła zabawy i hołdy, była dumną z piękności, wymagającą i zazdrosną żoną: kiedy Marcin wyjechał do Warszawy lub Dubna, pisywała do niego list za listem ze skargami na jego obojętność, lub wymówkami, że jest niewiernym i płochym, książe odpowiada jéj na to w te słowa:

„Sercem najukochańsza panno! Nie wierz plotkom i baśniom, które złe rozsiewają języki i Bóg świadkiem, że jesteś zawsze przytomną w mem sercu i pamięci, nie gniewaj się na mnie, nie chciéj mojéj zguby, proszę i zaklinam cię na affekt Stasia" Małżeńskie więc spory dotąd kończyły się na wymówkach i kilku listach, książe powracał do żony i ukochanego dziecka; pałac w Lubarze w czasie pobytu państwa, grzmiał prawie codziennie muzyką i tanami, bo liczni z różnych stron goście ściągali do jego wesołych podwojów. Ale od chwili śmierci Stasia, zmieniły się stosunki małżonków, w krótkim przeciągu czasu; książe odebrawszy fatalną wiadomość odwiedził w Łabuniu cierpiącą żonę, wrócił z nią do Lubaru, gdzie przepędził ostatek zimy do wiosny, był jednak ponury i milczący, unikał licznego towarzystwa, przestając najwięcéj z oficerami, znajdującemi się pod jego komendą. Żona zauważała wielką zmianę w postępowaniu męża, zbyt żywa i gwałtowna ażeby mogła długo i stale przechowywać w sercu macierzyńską boleść, po upływie trzech miesięcy, otarła łzy po stracie syna, a pojechawszy do domu rodziców do Łabunia, szukała rozrywki i zabaw w gronie wesołych sąsiadów, pomiędzy któremi byli: księstwo Kasprowie Lubomirscy, ks. Kalikst Poniński, Bukar sędzia żytomierski z żoną, nakoniec generał książe P., światowy i wymowny cudzoziemiec, który już od roku prawie codziennym bywał w Łabuniu gościem, był długi przeciąg czasu jednym z najgorliwszych czcicieli wdzięków księżny Kasprowéj, a zachwycał wszystkie damy ujmującą powierzchownością i miłą rozmową w języku francuzkim, którym władał tak dobrze jak ojczystym.

Ks. Marcin po wyjeździe żony do Łabunia, udał się do Warszawy, gdzie całe przepędził lato, a nastąpiła dla niego epoka, w któréj tysiączne układał projekta, sprowadzał z zagranicy biegłych artystów w muzyce i śpiewie, dopomagał do rozwinięcia teatru Ryxowi, z którym zaczął następnie traktować o odstąpienie mu przywileju dyrygowania widowiskami warszawskiemi.

Tymczasem generał P. korzystał z długiéj nieprzytomności ks. Marcina i skierował swe affekta ku jego żonie; w tym celu postarał się o rozszerzanie w domu kasztelana i w okolicy szkodzących sławie męża wieści, rozpowiadał szeroko o jego stosunkach z teatrem, wymieniał nawet po nazwisku tancerkę, która miała szczególnie przypaść do serca księciu Marcinowi. Prawie codziennie rozgłaszane wieści o niewierności męża, pobyt tegoż od kilku miesięcy bez żadnego usprawiedliwienia w Warszawie, utwierdzał księżnę w tém przekonaniu że niezawodnie jakaś nowa miłość owładła jego umysłem. Gniew z początku i zazdrość pobudziła ks. Honoratę do pisania częstych listów do męża, w których go zaklina, aby się upamiętał i powracał jak najprędzéj do niéj, chociaż w tém wszystkiem nie było już ani cienia prawdy, bo księżna pocieszała się w tém rozłączeniu miłą rozmową z generałem P., który dla pięknych jéj oczów porzucił chętnie towarzystwo księżny Kasprowéj, ta zaś widząc się na raz pozbawioną hołdów, szukała środków zemsty nad nadobną rywalką i donosiła przez ustną pocztę ks. Marcinowi o stosunkach żony jego z generałem. Tak więc jedna strona przed drugą były czernione wza-

jemnie, ks. Marcin długo całą tę sprawę pokrywał milczeniem, dopiero listy żony, w których mu wyrzuca jego niewierność, pobudziły go do podobnéjże odezwy; ostatni list Honoraty brzmiał w następujących słowach:

„*Mon prince!* Nie wiem czy odebrałeś list mój, w którym ci donoszę, jako wiem dobrze o wszystkich twych sprawach i grożę ci za to srogą karą Pana Boga. Niesłuszne mi niegdyś w liście czyniłeś wymówki za to, że na spacer jeździłam z generałem, bo to miało miejsce w towarzystwie moich obojga rodziców, nie wiem zatem co mogłeś w tem dopatrzeć zdrożnego. Co zaś do mnie, mam bardzo słuszne powody gniewu; wszyscy tu mówią, że szalejesz za teatrem i komedjantką, która niedawno przez ciebie sprowadzona, występuje teraz w balecie. Piszesz do mnie, że to nieprawda, że złe języki ludzi, którzy cię nienawidzą, rozpuszczają te fałszerstwa i kalumnje na ciebie, ale jeżeli tak jest, czemuż nie wyjeżdżasz z téj przeklętéj Warszawy i dręczysz tak okrutnie twą nieobecnością żonę, która cię dotąd miłowała szczerze. Mówię dotąd.... bo nie wiem doprawdy, czy mogę kochać jeszcze człowieka, który szydzi ze mnie i zdradza mię tak okrutnie. *Si vous avez un peu d'amour pour moi, revenez donc de cette exécrable Varsovie.... mais non, non, vous me trompez toujours, et je suis la plus malheureuse femme du monde!* Jeżeli mię masz zawsze oszukiwać tylko, lepiéj już nie przyjeżdżaj wcale i nie pokazuj mi się na oczy, ale pamiętaj, że klątwa moja ścigać cię będzie i jak cień towarzyszyć aż do grobu.

H. L.

Ks. Marcin po przeczytaniu tego listu doznał srogiego uczucia boleści, nie poczuwał się bowiem wcale do występku, o który posądzała go żona, bawił długo w Warszawie z powodu różnych interesów i procesów prawnych, któremi był obarczony, dopomagał wprawdzie Ryxowi do zarządu teatrem i widowiskami, ale to czynił z przywiązania do zabaw tego rodzaju, była to dawna skłonność, która rozwinęła się teraz i owładła jego umysłem, był on zawsze pod wpływem wrażeń obecnéj chwili, nieodrodnem dzieckiem swéj epoki. Wkrótce odebrał list powtórny z większemi jeszcze wyrzutami, wtedy to boleść ustąpiła miejsca gniewowi, zatém odpisał żonie w następujących słowach:

„Czytałem dwa listy twoje z klątwą od kościelnéj straszniejszą, nie myślę wcale cię przeklinać, tylko moją ślepotę i przywiązanie, ale może i do tego nie przyjdzie, bo już odprawiłem pokutę, znają ją dobrze wszyscy, więc nie potrzebuję do jéj opisania wielkiéj elokwencji. Przystaję z największą ochotą, ażeby Bóg spuścił na mnie kary, których mi życzysz, jeżeli obłudnie kiedykolwiek z tobą postępowałem. Czyniłem wszystko, co mi dyktowało prawdziwe przywiązanie, bo jakąż mogłem mieć kalkulację, skoro ci wyznawałem miłość moją? Ludzie rzucają na mnie potwarz, która nie ma żadnego fundamentu ani podobieństwa do prawdy. Wyznaję, że lubię teatr, muzykę i śpiewy, a zdaje mi się, że z tego upodobania nie robiłem nigdy sekretu, ale przysięgam że ani mi w głowie nie postała komedjantka, którą mi przypominasz, w twych listach. Nie myślę na twoje wyrzuty i klątwy odpowiadać klątwą, bo przywiązanie i uczciwość nie dozwala złorzeczyć osobie, którą się kocha, tak, nie zapieram się tego, że cię kocham, choć może wolałabyś teraz ażebym cię nienawidził i popierał sam ten rozwód, którego tak gorąco pragniesz. Daruj, że na list nazwany przez ciebie ostatnim tak odpisuję, jakoby i mój był ostatnim, bo znam się być niewinnym, wiem, że dla tego potwarzą jestem obrzucony, abym ostatnią wytępił iskrę miłości i zaparł się jéj na wieki. Protestuję się przed Bogiem w końcu, że jestem niewinny i że nie żadne płoche amory, ale ważne sprawy zatrzymują mię w Warszawie, wyznaję też że zajmuję się teatrem i muzyką, gdyż te zabawy, w ciężkich strapieniach, któremi Bóg dotykać mię raczy, jedyną są moją pociechą. Zakończam list obecny jak poprzedni słowami, że modlę się gorąco, ażeby Bóg cię oświecił, jeżeli jesteś w błędzie, jako też abyś pamiętała, że jestem wiernym i kochającym cię mężem.“

M. L.

Taki był stosunek małżonków w trzy lata po ślubie, a w kilka miesięcy po stracie jedynego syna. Nim przystąpimy do opisu pobytu i czynności ks Marcina w Warszawie, musimy się cofnąć w opowiadaniu, z powodu rozpoczętego a niedokończonego romansu porucznika Wąsowicza z panną Szwejkowską. Stolnik Owrucki udał się z ordynansem księcia do majora Ekharda, który niezwłocznie ubrał się w mundur, przypasał pałasz, wziął parę pistoletów i pojechał z nim do Łabunia. Kasztelan Stępkowski, major i stolnik Szwejkowski długą mieli naradę nad sposobem wyszukania zakochanéj pary, porównywali nadchodzące z różnych stron wieści, które jednak tak sprzeciwiały się wzajemnie i nie wskazywały żadnego śladu, że postanowiono odłożyć na czas późniejszy tę sprawę, ograniczając się na podaniu prośby do króla i departamentu wojskowego, o wymierzenie sprawiedliwości na osobie porucznika. Tymczasem młodzi kochankowie przebiegali z parafji do parafji, błagając miejscowych kapłanów, ażeby skojarzyli ich węzłem małżeństwa, w całéj jednak djecezji bez zezwolenia rodziców i bez świadków, żaden z księży nie odważył się pobłogosławić tego związku, udali się więc do drugiej djecezji, gdzie jeden z mniéj skrupulatnych proboszczów połączył ich dłonie i wydał im świadectwo ślubu. Kiedy książe Marcin wyjechał już do Warszawy, młodzi nowożeńcy po dwumiesięcznéj podróży, przybyli do Lubaru; porucznik dowiedziawszy się o podanéj proś-

bie stolnika do króla, pospieszył czém prędzéj do stolicy, w zamiarze szukania protekcji, żonę zaś swoją pozostawił w Lubarze w domu majora Ekharda, którego małżonka ulitowała się nad losem Zofji i wzięła ją pod opiekę. Wkrótce po wyjeździe Wąsowicza odebrał Ekhard rozkaz od głównodowodzącego generała lejtnanta Stępkowskiego, ażeby natychmiast aresztował porucznika, żonę zaś jego, córkę Szwejkowskiego, ażeby oddał ojcu. Odpisał major kasztelanowi, że porucznik udał się do Warszawy w celu przedstawienia się i wytłumaczenia przed władzą, co zaś dotycze się jego żony, chociaż ta jest pozostawiona pod jego opieką, nie mogąc się sprzeciwiać rozkazom swego dowódzcy, odda ją ojcu, byleby ten po nią przyjechał. Stolnik Owrucki nie omieszkał wkrótce zgłosić się po córkę, która gorzéj niż śmierci obawiała się spotkania z ojcem; jakoż nie omyliło ją smutne przeczucie, bo stanął przed nią w postaci groźnego, nieubłaganego sędziego, a kiedy nie mogąc znieść jego piorunującego wzroku, padła mu do nóg i rzewnemi zalewała się łzami, rzekł do niéj surowo: „masz dwie przed sobą drogi, z nich jedną koniecznie wybrać ci wypada, wracaj do domu ojca, wyrzekłszy się obłudnika, którego nazwałaś swym mężem, albo żyj z nim, ale ja cię się wyrzeknę na wieki.“

Trudny był wybór dla Zofji, bo jak jedna tak druga droga straszną była do przebycia, ale skruszona została widokiem ojca, którego rozkaz i wola tak zawsze była dla niéj świętą, dopóki nie omroczył jéj szał przywiązania i obawa jego gniewu. Nie namyślając się długo, nieszczęśliwa córka odpowiedziała z jękiem: „Ojcze! pojadę z tobą i chcę być posłuszną twéj woli.“

Porucznik Wąsowicz skoro przyjechał do Warszawy, udał się natychmiast do szefa regimentu ks. Marcina, opowiedział mu swe przygody i prosił pokornie o protekcję, najprzód do władzy, a późniéj do ojca żony, Daleko łatwiéj było otrzymać ułaskawienie ze strony wojskowéj władzy, niż srodze obrażonego ojca. Ks. Marcin nie odmówił porucznikowi instancji, wyjednał mu wkrótce przez swe wpływy u króla, że sprawa jego osądzona została bardzo pobłażliwie, skazany bowiem był tylko na dwa miesiące aresztu, który odsiedział w Lubarze. Rodzina porucznika i inne przychylne mu osoby starały się usilnie o pogodzenie go z teściem. Wąsowicz odpokutował już wyznaczoną karę, upłynęło trzy miesiące od czasu powrotu nowożeńców do stron rodzinnych, a prośby rzeczonych osób żadnego nie miały skutku; żona porucznika mieszkała ciągle przy ojcu, w nadziei zapewne, że doczeka się pożądanéj chwili, w któréj potrafi zmiękczyć gniew rodzicielski i otrzyma zezwolenie na połączenie się z mężem. Tymczasem biedni nowożeńcy nie mogli nawet chwilowo widywać się z sobą, Zofja nie wyjeżdżała wcale z domu, w którym zupełnie klasztorne pędziła życie, jedyną ich pociechą w tém rozłączeniu była korespondencja listowna, którą za pośrednictwem życzliwych osób prowadzili w tajemnicy, ostrożnie. Takie to zaszły wypadki w okolicach Lubaru, podczas kilkomiesięcznego pobytu Marcina w Warszawie.

Książe mieszkał jak dawniéj, w dworku swoim przy ulicy Zielnéj; odkąd sprzedał pałac *pod Blachą*, odprawił marszałka dworu Lellisa, miejsce jego zajął kapitan Turski, który wszędzie mu towarzyszył, skoro wydalał się z Lubaru.

Mówiliśmy już, jak kapitan nie lubił podskarbiego wielkiego koronnego i jak starał się nakłonić księcia do zerwania z nim stosunków; wkrótce przekonał się życzliwy sługa, że usiłowania jego w téj mierze. są zupełnie bezskuteczne, bo ks. Adam rzadko wypuszczał z swéj sieci łatwowiernych, którzy raz w nią wpadli. Książe Marcin był przekonany mocno, że istnieć bez Ponińskiego nie może, w razie potrzeby pieniędzy na opłacenie własnych wydatków, lub zaspokojenie natrętnego wierzyciela, udawał się zawsze do podskarbiego, który tak łatwy otwierał kredyt. Kapitan Turski widząc nieuleczoną słabość swego pana ruszał tylko ramionami, ale żadnéj nie czynił już uwagi. Drugą osobą, która codziennym była gościem w domu ks. Marcina, był znany nam Ryx starosta Piaseczyński, uprzywilejowany dyrektor teatru i publicznych widowisk; ten ostatni doznając wielu w tym czasie kłopotów w zarządzie warszawską sceną, zamierzył odstąpić praw swych księciu, który nie mógł zdecydować się długo z przyjęciem tego obowiązku, kierownictwo bowiem teatrem w owym czasie połączone było z wielu trudnościami, szkoła dramatyczna nie rozwinięta jeszcze dobrze, wymagała zdolnego i doświadczonego sterownika, najcięższa zaś była sprawa z operą i zamawianiem cudzoziemskich artystów, których wyborem musiał się zajmować sam dyrektor teatru. Ryx był prostym spekulantem i nie miał potrzebnych do tego zawodu zdolności; wkrótce po otrzymaniu przywileju, odstąpił go Monbrunowi, po wyjściu zaś terminu kontraktu, rad był znów ten ciężar złożyć na kogo innego, więc widząc w ks. Marcinie namiętne zamiłowanie do widowisk scenicznych, postanowił skorzystać z téj słabości i przelać na niego swe prawa.

Codziennie od tygodnia nawiedzał Ryx w rannych godzinach ks. Marcina i zachęcał go do objęcia zarządu teatru i widowisk publicznych, a widząc że jego wymowne przedstawienia zbawienny wywierają skutek, postanowił dobić ostatecznie targu; w tym celu przybył pewnego poranku do gabinetu księcia i po zwyczajnem powitaniu położył przed nim na stole spisane warunki, na mocy których odstępuje swych praw do teatru.

Ks. Marcin przeczytał uważnie podaną mu

notatkę i rzekł z uśmiechem: „Warunki, które podajesz starosto, nie są wprawdzie zbyt trudne, ale wyznam ci szczerze, że waham się jeszcze z przyjęciem tego nowego obowiązku, który zysk bardzo mały, albo wcale żadnego mi nie przyniesie, a tyle mu towarzyszy zachodów i kłopotów, że nie czuję dostatecznéj odwagi do wystąpienia w téj nowéj szermierce.

— Nie przeczę w. ks. m. że jest dużo kłopotów i trudów w tym zawodzie, ale jeżeli książe udarowany tak obszerną nauką, wysokiemi talentami i głęboką znajomością sztuki, zawahasz się i odrzucisz moją propozycję, nie widzę nikogo w całym kraju, ktoby ośmielił się go zastąpić a mnie wyręczyć w czynności, do któréj nie czuję sił i zdolności. Wasza ks. m. jesteś jedynym opiekunem i protektorem sceny, o tém wie król i naród cały; wczoraj zwierzyłem się z mych kłopotów najjaśniejszemu panu i odkryłem mój zamiar; odpowiedział mi w te słowa: „Wyborny uczyniłeś wacpan wybór, nie znam nikogo, ktoby był równie zdolny jak ks. Marcin Lubomirski do dyrygowania teatrem, a obszerne jego stosunki z zagranicą, posłużą mu do sprowadzania biegłych artystów, dla kierowania operą i baletem.“

— Cieszy mię, że król nasz pokłada we mnie tak wielkie zaufanie, ale zważ wacpan, ile potrzeba trudu i zabiegów, ażeby odpowiedzieć mu godnie. Zostaw mi jeszcze mości starosto trochę czasu do namysłu....

— Niech w. ks. m. mi wybaczy, że nie mogę już czekać dłużéj i przyszedłem dziś z pokorną prośbą o ostateczną decyzję, wszyscy bowiem już mówią głośno o naszych układach i z upragnieniem oczekują na ogłoszenie imienia w. ks. m. jako jedynego protektora i najmocniejszego filaru teatru. Wiesz dobrze książe jak niebezpiecznie jest w naszym zawodzie żartować z opinii publicznéj.... skorobym dłużéj przewlekał tę sprawę, znudzony ogół daremnem oczekiwaniem, zawiedziony w swych nadziejach, ku mnie skieruje pociski i na mnie wyleje żółć nienawiści i słusznego gniewu. Proszę więc i zaklinam w. ks. m. pokornie, nie pozostawiaj mię dłużéj w niepewności i oświadcz mi stanowczo, czy chcesz przyjąć to berło widowisk i sceny, które ci dawno opinia publiczna przeznacza, jako jedynemu z protektorów teatru, który dzierżyć go będzie z wielkim pożytkiem dla kraju.

— Widzę, że wacpan uwziąłeś się koniecznie na to, ażebym dziś zakończył z tobą ten interes; odrzekł książe z uśmiechem, spoglądając na zakłopotaną twarz Ryxa, który obawiał się srodze, ażeby *ultimatum* jego odrzuconem nie zostało.

Po chwili milczenia i namysłu dodał jeszcze:

— Zgoda w końcu, mości starosto Piaseczyński, dziś nawet obejmę dyrekcję teatru; kwota, któréj żądasz za odstąpienie, nie jest zbyt wygórowana, proszę tylko o jednę zmianę w kontrakcie, mianowicie, co dotycze się wypłaty w czterech ratach rzeczonych pieniędzy, z wielu względów daleko wygodniéj mi będzie płacić miesięcznie po 280 czerwonych złotych. Jeżeli przystajesz na to starosto, za parę godzin spiszemy akt urzędowy i podamy do druku doniesienie o zawartym kontrakcie.

— Zgadzam się najzupełniéj z wolą w. ks. m., odrzekł z głębokim ukłonem starosta, poczem dodał: Tymczasem pożegnam w. ks. m. na chwilę, by przygotować wszystko do sporządzenia kontraktu, poczem stawię się na usługi w. ks. m. To powiedziawszy, ukłonił się powtórnie i wyszedł na palcach z gabinetu księcia.

Po wyjściu Ryxa przechadzał się ks. Marcin chwil kilka w zamyśleniu, z założonemi na krzyż rękami, poczem siadł około biórka i ułożył doniesienie, które w dniu jutrzejszym miało być przylepione na rogach ulic, ukończywszy je, odczytał głośno.

Doniesienie to brzmiało w następujących słowach:

„Książe J. Marcin Lubomirski generał lejtnant wojsk koronnych uczyniwszy celem przypodobania się publiczności, oraz stania się użytecznym krajowi, kontrakt z W. Franciszkiem Ry*x*em, starostą piaseczyńskim, pod dniem 10 października roku bieżącego, mocą którego kontraktu, wszystkie w powszechności i szczególności widowiska, podług przepisu konsystucji roku 1775, j. o. książętom Sułkowskim służącéj, na siebie objął; przedsięwziął z dzieci młodych i zdolnych, doskonałych w czasie uformować aktorów i baletników narodowych, uwiadamia więc publiczność, że brać będzie na edukację dzieci młode płci obojéj, urodziwe, kształtne i wad żadnych nie mające, która to młodzież podług zdolności i przymiotów osobistych, ćwiczona będzie we wszystkich umiejętnościach do widowisk służących, jako to: w tańcach, muzyce wokalnej i instrumentalnej, w czytaniu, pisaniu i w językach; zaczem którzyby rodzice lub opiekunowie sobie życzyli oddać swe dzieci na edukację teatralną, niechaj się udadzą do pałacu Radziwiłłowskiego, do imcipana Giżyckiego, mającego zlecenie wpisywać takowe dzieci. Ostrzega się jednak, iż młodsze od jedenastu, a starsze od piętnastu lat przyjęte nie będą, z których najkształtniejsze i edukację jakążkolwiek już mające, lub język jaki umiejące, pierwszeństwo do wyboru i przyjęcia mieć będą.

Zaledwie książe skończył odczytywać to doniesienie, rozwarły się drzwi komnaty i wszedł porucznik Wąsowicz, który po odsiedzeniu aresztu w Lubarze, naprózno od dwóch miesięcy wszelkie wyczerpał starania, ażeby się mógł połączyć z żoną. Ks. Marcin miał wiele współczucia dla losu swego porucznika, przywitał go serdecznie i zapytał: Jak

że tam sprawa wacpana stoi, czy dotąd nie pogodziłeś się z ojcem i nie możesz odzyskać swéj panny?

— Wszystko źle mi dotąd idzie, j. o. książe, bo na dwa listy moje stolnik nie odpisał ani słowa, więc widocznie za nic waży me prośby i nie myśli zwrócić mi żony.

— A ona czy zawsze z jednakim affektem jest dla wacpana?

— Ona pisuje do mnie nieboga ukradkiem i zwierza się że tęskni bezemnie srodze, ale nie doradza mi wcale abym tam jechał, bo obawia się zapalczywości ojca.

— A kto wie? możebyś dobrze wacpan zrobił, gdybyś udał się w pokorę i przebłagał osobiście stolnika.

— Tak mnie téż niektórzy przyjaciele radzą, ale boję się, bym nie doznał jakiego od niego afrontu. Wiesz w, ks. m. dokumentnie, że tchórzem nie byłem nigdy i nie jestem, a djabłu nawet śmiałobym spojrzał w oczy, ale z imcip. Szwejkowskim ojcem mojéj panny, zupełnie inna jest sprawa, bo w razie doznanego od niego afrontu, nie mógłbym dla jéj miłości żądać przyzwoitéj satysfakcji, trudno zatém przewidzieć jak twardy orzech miałbym do zgryzienia.

— Masz wacpan zupełną słuszność, ostrożność nie zawadzi wcale, doradzając, ażebyś udał się w pokorę, miałem na myśli, że może przyjaciele wacpana wybadali sentymenta stolnika i przekonali się jako nie jest dalekim od zgody. ..

— Prawda, że radzą mi udać się w pokorę i przebłagać ojca méj Zosi, ale nie wiedzą wcale jak fatalne mogłyby wyniknąć ztąd skutki, bo mam nieomylne dowody, że stolnik nie ochłonął z pierwszego gniewu i zawsze na mnie zawzięty jest srodze.

— Żałuję że nic nie mogę w téj sprawie dopomódz wacpanu, bo nie mam z imcipanem Szwejkowskim żadnego przyjacielskiego stosunku; znamy się wprawdzie od lat dawnych ale zawsze obojętnie i zimno witamy się z sobą, dziś zaś nawet, jak słyszałem, stolnik obrażony jest na mnie, że wnosiłem instancję do władzy za wacpanem.

— Przed parą tygodniami zatęskniłem mocno do Zosi i postanowiłem przynajmniéj zobaczyć ją w kościele; owóż pojechałem na mszę św. w niedzielę, stanąłem opodal od stolnika i widziałem niebogę, jak z oczami łez pełnemi modliła się gorąco, klęcząc przed ołtarzem. Na widok troski méj Zosi o mało serce nie pękło mi z żalu, tém większego doznawałem udręczenia, że stojąc o kilkanaście kroków, nie mogłem zbliżyć się ani zagadać do niéj jednego słowa, bo stolnik patrzał wciąż na mnie okropnym wzrokiem i przeszywał mię nim jak sztyletem, wysunąłem się więc wcześnie z kościoła, by uniknąć fatalnego spotkania, któreby mogło dobić nieszczęśliwą Zosię. Obawa moja nie była próżną wcale, bo nazajutrz opowiedział mi ksiądz proboszcz, że stolnik odgrażał się straszliwie, a w przystępie nie pohamowanéj furji, powiedział, że bezbożnik taki nie powinien mieć wstępu do kościoła, jakobym był już *excommunicatus* i odłączony od społeczeństwa wiernych.

— Jak wacpan od ojca żony, tak ja w młodości doznałem srogich skutków rodzicielskiego gniewu w podobnejże przygodzie, odrzekł z westchnieniem ks. Marcin. Poczém dodał:

— Znam porywczość starego stolnika, nie myślałem jednak, aby tak twardym okazał się w téj sprawie, mówił bowiem, skarżąc się na wacpana, że najwięcéj go to gniewa i boli, że nie prosiłeś o rękę panny i żadnych nie czyniłeś ku temu starań, ale zmówiwszy się z nią potajemnie, wykradłeś ją w nocy, jak wilk owcę z owczarni.

— Święta jest prawda, że nie prosiłem stolnika o rękę Zosi, alež mój Boże, jakże być mogło inaczéj, kiedy wiedziałem dokumentnie że oddawna już ją przeznaczył i przyobiecał innemu; imcipan Hański sąsiad i dobry jego przyjaciel miał być Zosi małżonkiem, wiesz jednak w. ks. m. dobrze, że nie zawsze serce panny zgadza się z wyborem ojca, więc ona nieboga zapytana przez rodzica, wręcz mu oświadczyła, że dla konkurenta tego żadnego nie ma affektu, owóż stolnik ofuknął ją najprzód straszliwie, po chwili zaś namysłu powiedział, że jest zepsute i kapryśne dziecko, ale spodziewa się, że z czasem nabierze więcéj rozumu i przyjmie oświadczenie człowieka, który jest najzacniejszym z jego sąsiadów i przyjaciół. Tymczasem Zosia niesłychany wstręt czuła dla Hańskiego, który jest tęgi do korda i do butelki, ale nie ma żadnéj wprawy do skaptowania serca panny; takie to przeszkody nie dozwoliły mi wynurzyć się przed stolnikiem i popchnęły do tak gwałtownéj akcji.

Słuchałem z wielką ciekawością szczegółów romansu wacpana, bo mi przypominają przygody mojéj młodości.... Teraz powiedz mi poruczniku, co słychać w Lubarze i Łabuniu i gdzie obecnie znajduje się moja żona?

— Żona w. ks. m. przez cały zeszły miesiąc mieszkała w Lubarze, teraz zaś jest już w domu ojca, w Łabuniu.

— W Lubarze, podczas pobytu méj żony dużo bywało gości?

— Książe Kasper z żoną, państwo kasztelanostwo Stępkowscy, ich koligaci i znajomi, a między temi książe generał P., który najczęstszym był gościem....

— Mówisz, że generał najczęściéj widuje się z moją żoną?

— Bardzo często, nietylko w Lubarze, ale w Łabuniu, w Zasławiu i w Międzyborzu.... J. o. księżna bardzo lubi generała, on téż nawzajem dla niéj wielki okazuje affekt.

— Słuchaj poruczniku! wdzięczen ci będę niezmiernie, jeżeli bez ogródki całą mi wyznasz prawdę, bo nie wiem dotychczas czy

mam wierzyć temu, co ludzie mówią o generale P. i o méj żonie?

— Wierny i obowiązany sługa w. ks. m. za tylokrotnie doznane łaski, uprzedziłem jego życzenia i przywiozłem dokumenta, które zasmucą cię książe, ale odkryją zdradę i wykażą prawdę.

To powiedziawszy, okazał księciu ogromną plikę papierów, które wręczając mu, dodał:



wpatrywał się boleśnie i długo w rysy ubóstwianéj niegdyś a następnie odepchniętéj przez niego, lecz niezapomnianéj Anny.

Szczególny zdarzył wypadek, że ta obszerna korespondencja bez żadnych starań i zachodów wpadła w moje ręce; na kilka dni przed moim wyjazdem, z powodu pozostawionego bez dozoru ognia na kominie, powstał pożar w pokoju księżny, znajdowałem się wtenczas w pobliżu pałacu i pospieszyłem na ratunek; płomień ugasiliśmy wkrótce, tymczasem przy wynoszeniu rzeczy i papierów, pakiet ten wypadł w sieni, podniosłem go i dostrzegłem, że zawierają się w nim korespondencje j. o. księżny i generała, nie omieszkałem więc skorzystać z okoliczności, która całą tę sprawę oddaje pod sąd w. ks. m.

— Dziękuję za tę uczynność wacpanu, proszę jednak i polecam ażeby tajemnica tych listów pomiędzy nami dwoma na zawsze została.

— Może być w. ks. m. o to spokojny, bo nie z próżnéj ciekawości, a dla usłużenia mu jedynie przechowałem te listy, a jako nie pokazywałem ich nikomu tak też i mówić o nich nie myślę, zresztą rozkaz w. ks. m. jest święty jako szefa i dobrodzieja mego.

Oddawszy głęboki ukłon, wyszedł porucznik Wąsowicz z pokoju księcia, który z widocznem wzruszeniem przeglądał rzeczone korespondencje. Były to listy sentymentalne, najdokładniéj skopjowane z wzorów francuzkich romansów owego czasu. Książe P. rozżalony w jednym z tych listów na kochankę, woła: *O ma chère amie, o mon Etre suprême, souffrez que je me plaigne de vous et de votre rigueur.* Rzadko jednak ks. Honorata dawała powód do podobnych żalów, owszem upewnia go najczęściéj, o stałości swych sentymentów, jak np. w następujących słowach: *Ceux qui m'environnent ici sont si hideux, et si peu fait pour la conversation, que leurs figures et leur société loin de vous faire craindre, pourraient vous rasurer, car quelle différence entre vous et eux! Vous êtes enjoué dans la société, tandis qu'eux sont mornes comme des ours, votre esprit brille en toute ocasion et le leur disparait dans chaque discours.*

Nie mógł ks. Marcin przeglądać długo korespondencji, w których każde słowo raniło go boleśnie, rzucił z pogardą cały stos papierów, a załamując ręce, w pochylonéj postawie i ze zwieszoną głową rzekł drżącym z wzruszenia głosem: Pewnie za grzechy moje sam na siebie ściągnąłem tę zasłużoną karę i pogardziłem miłością kobiety, którą teraz dopiero oceniam i poznaję. To powiedziawszy zbliżył się książe do ściany, na któréj zawieszony był portret, zasłonięty firanką, odsunął takową i wpatrywał się boleśnie i długo w rysy ubóstwianéj niegdyś a następnie odepchniętéj przez niego, lecz niezapomnianéj Anny.

(*D. c. n.*)

# POMYŁKA.

## Komedja w dwóch aktach.

OSOBY.

*Sędzina Barska.* *Zygmunt.*
*Celestyna jéj córka.* *Jakób karczmarz.*
*Brigida jéj pasierbica.* *Jakóbowa.*
*Antoni* *Lokaj.*

### Akt I.

SCENA I.

Karczma zwyczajna polska, stół długi, ław parę. kilka drewnianych stołków; z głównéj izby drzwi do alkierza.

*Jakób, Jakóbowa* (mówi z mazurska).

*Jakób,* (zabiera się do wyjścia). Matko. a nie potrzeba tam czego, bo idę do dwora?

*Jakóbowa.* A ty wej tam po co? Wiesz że pani kazała, aby wódkę, bułki i sér przywozić od Mordki.

*Jakób.* A licho was opętało z tym Mordką. Wszystko daje takie, że się i psu na budę nie zda, a płacić sobie każe trzy razy tyle co warte.

*Jakóbowa.* Pani tak kazała i juścić...

*Jakób.* Panienka tego zakazała i kwita!

*Jakóbowa.* Napytasz ty się biedy z twoją panienką.... wypędzą cię het z karczmy, jak wypędzili Matusa, (staje przed nim z miną uroczystą), miej ty rozum człecze, a cóż ci to szkodzi, że cię i pani pochwali i jaśnie panna będzie dobréj woli ku tobie, a od Mordki to cielątko, to gęś, czasem jakie grosiwo kapnie ci do ręki.

*Jakób.* Jużem ci mówił kobieto, że tak czynię, jak mi pan Bóg nakazuje. Dyć ja nie dzisiejszy sługa, jeno stary domownik. Służyłem ongi u nieboszczyka i dziś wiernie służę dzieciom jego, a na krzywdę państwa nie zezwolę, choćby mi cały kahał żydowski chciał za to zapłacić.

*Jakóbowa.* Ej! co tam... pan zawsze panem a biedak zawsze biedakiem. Co ci wej pańskie dobro, tak na sercu leży? Ty z twoją panienką trzy grosze uciułasz, a jasna pani z jaśnie panną i Mordkiem tysiąc złotych tymczasem zmarnują. Czy to nie lepiéj pamiętać o sobie kiedy można?

*Jakób.* (zniecierpliwiony). Dobrze to ludzie mówią, u kobiety długie włosy, ale rozum krótki. Gdyby ja wiedział, żeście wy matko takiego głupiego zdania, byłbym się dalipan z wami nie ożenił.

*Jakóbowa* (szyderczo). A u chłopa i włosy krótkie i rozum krótki! Widzisz go wej! byłby się nie ożenił, u baby rozum krótki, bo wej! wrósł w kosę, ale wasz chłopski rozum kej powędrował? Widzi mi się w pięty.

*Jakób.* Oho! rozterkotała się baba. Już jéj sam bies języka nie powstrzyma, gadajcie tu sobie zdrowi, a ja idę do dwora. (Słychać turkot Jakóbowa idzie do okna).

*Jakóbowa.* Goście jadą! jacyś panowie. Biegajcie co tchu po wódkę, bułki i sér, bo nic w karczmie nie ma. (Jakób wychodzi).

SCENA II.

*Zygmunt, Antoni, Jakóbowa,*

*Zygmunt.* Niechże będzie pochwalony! jest gdzie stanąć gosposiu?

*Jakóbowa.* Na wieki... a dyć jest wielmożny panie. Alkierzyk czyściusieńki, kieby szkło, dwa łóżka, sianó, a czego wielmożni panowie zechcą więcéj, to przyniosę ze dwora, (krząta się).

*Antoni* (z uśmiechem do Zygmunta). Ma nas za ludzi nie potrzebujących więcéj; alkierz, dwa łóżka i siano. To aż nadto wygody, co zaś do pożywienia, ręczę ci że nawet gorzałki nie znajdziesz. Takie to nasze karczmy!

*Zygmunt.* Czy jest gorzałka gosposiu?

*Jakóbowa.* Juścić wielmożny panie, będzieć jeszcze ze cztery kieliszki.

*Antoni.* Widzisz jak dobrze znam miejscowe zwyczaje.

*Zygmunt.* Prawda, ale jak dla nas, dosyć i tego, myślisz że lepsze miewałem popasy w Afryce? Tu przynajmniéj wszędzie znajdę zimą ogień, a latem wodę, tam umierało się z pragnienia bez kropli wody, a jednak dzięki Bogu! żyję dotąd i powróciłem do swoich.

*Antoni.* Trudnoż nie zganić choć swoje, kiedy godne nagany.

*Zygmunt.* Już to nasz obyczaj chwalić wszystko u sąsiadów, a nic nie poprawiać u siebie.

*Antoni.* Moja gosposiu, dajcie półkwaterek wódki naszemu furmanowi.

*Jakóbowa*: A panowie się nie napiją?

*Antoni.* Dobrze, pokosztujemy twojéj wódki. Do ciebie Zygmuncie.

*Zygmunt* (odbierając kieliszek). W ręce wasze gosposiu.

*Jakóbowa* (wypija i kłania się do nóg Zygmuntowi). Bóg zapłać wielmożnemu panu.

*Zygmunt.* Lubicie wódkę gosposiu?

*Jakóbowa.* A któżby nie lubił wielmożny panie.

*Antoni.* Czyście wdowa czy mężatka?

*Jakóbowa.* Mężatka wielmożny panie. Już sześć niedziel jakem wej poszła za mojego.

*Zygmunt.* I cóż, nie wybił was jeszcze?

*Jakóbowa.* Boże uchowaj! to taki dobry i stateczny człowiek. Bo to, widzi wielmożny pan, ja byłam wdową i siedziałam komornem u zięcia, a mój był zagrodnikiem u pana Szny-

cla. Kiej mu zeszłego roku żona umarła, widział że ja mam krowę i pierzynę i ożenił się.

*Antoni*. Wiele też lat macie gosposiu?

*Jakóbown*. Niby to jakem stara?.. Będę miała na św. Michał pięćdziesiąt cztery lat.

*Zygmunt*. To nie młoda panna młoda, a wasz gospodarz jak stary?

*Jakobowa*. Mój? O! już człek niemłody ma już pięćdziesiąt jeden roków.

*Zygmunt* (do Antoniego). Jaka umiarkowana w rachubie, on niemłody ona nie zastara.

*Antoni*. Lud nasz ma inne pojęcie o miłości i małżeństwie niż my, niewolnicy narzuconych wyobrażeń.

*Zygmunt*. Widzę że inne, ale podobno nie lepsze; czyja to wieś gosposiu?

*Jakóbowa*. Jaśnie sędziny Barskiej. Oj co dobra pani, to dobra, jeno że często słabuje, zawsze koło żniw jeździ do ciepłych wód i teraz się wybiera.

*Antoni*. Ma dzieci?

*Jakóbowa*. Ma jedną córkę bardzo dorodną, wypieszczone to, wychuchane, a żywe jak skra, okrutnie adukowana, bo wej nasza imość to tylko myśli a myśli o adukacji swojéj córeczki; coraz to nowy omentra do naszéj panienki przyjeżdża, to francuz, to miemiec, to janglik, widzi mi się, że był i cygan.

(*Antoni i Zygmunt* śmieją się).

*Jakóbowa*. Guwernantek też było i było, co jedna przyjedzie to druga wyjedzie.

*Antoni*. Czy ci metrowie wszyscy są we dworze?

*Jakóbowa*. Bogać tam! żadnego niema. Teraz wej pani z panienką do ciepłych wód wyjeżdża, tylko Mordko sprowadzi karetę.

*Zygmunt*, Mordko?

*Jakóbowa*. Widzą wielmożni panowie, Mordko to bardzo bogaty żyd, co to ma sklep w Jasieńcu, choć żyd, to bardzo dobry człek i pani naszéj wszystko doradza, sprzedaje, kupuje.

*Zygmunt*. Tylko jedną córkę ma wasza pani?

*Antoni* (żartując). Pan Zygmunt zaczyna się zajmować nieznajomą dziedziczką téj włości.

*Jakubowa*. Jest ci tam i druga pannica, nieboszczyka pana po pierwszéj żonie. E! tamta nie taka jak nasza panienka.

*Zygmunt*. Wieleż lat może mieć wasza panienka?

*Jakóbowa*. Która? starsza? Przedewszystkich świętych szesnaście lat, jak pańska córka miała lat szesnaście; żył jeszcze nieboszczyk pan i na tę pamiątkę wszystkie rówieśnice panienki dostały nową odzież.

*Antoni*. Dziś zatem ma lat 32.

*Zygmut*. Piękne lata, niema co mówić, do koronki i pacierza.

*Antoni*. To za surowo Zygmuncie, moja narzeczona ma lat 34.

*Zygmunt*. Wdowa to co innego, ale panna w takich latkach, kłaniam uniżenie za tę rączkę....

*Jakóbowa*. Młodsza jaśnie panienka miała wtedy trzy lata, kiedy nieboszczyk pan umarł.

*Antoni*. Jakże to dawno?

*Jakóbowa*. Tego samego roku, którego się mój syn ożenił, jakoś dwie niedziele przed Bożem narodzeniem zamarło biedne panisko.

*Zygmunt*. Więc ma lat dziewiętnaście, jedynaczka i pieszczona, mówicie że ładna?

*Jakóbowa*. Śliczniusieńka, a taka zawsze strojna, co mi też wstążków nadaje dla mnie i dla moich wnucząt, a dobra, dobra, tylko że okrutnie prędka.

*Antoni*. Czy starsza nie tak dobra?

*Jakóbowa*. Oj to pannica! a skąpa, za groszem aż się trzęsie.

*Zygmunt*. Nic dziwnego, starzejąc się, zaczyna kochać pieniądze, psy i koty.

*Antoni*. Cóż panienki robią w domu?

*Jakóbowa*. Młodsza ciągle się adukuje, gra tańczy, jeździ do somsiadów i do wód, a starsza dawniéj siedziała i czytała a czytała, albo wyszywała do kościoła, teraz gospodaruje.

*Antoni*. Gospodaruje? sama?

*Jakóbowa*. A dyć sama. Był tu rządca pan Szperkowski, poczciwe człeczysko, okrutnie go ludzie kochali taki był dobry na chłopów, ale wygryzła go pannica i sama rządzi.

*Zygmunt*. A to herod baba, że też się jéj za mąż nie trafiło?

*Antoni*. Pewno nie posażna.

*Jakóbowa*. A dyć tak, ma ino folwark co to wej ztąd widać, Grzybówkę, ale wycięli ten lasek i teraz tak zmarniało, że ani poświcić sosny.

*Antoni*. Któż to wyciąć kazał?

*Jakóbowa*. Pani kazała, bo jéj pan Sznycel dużo tysiąców dał za drwa.

*Zygmunt*. A kto jest pan Sznycel?

*Jakóbowa*. O, to bogaty pan, ma w somsiedztwie kilka wiosek, on tu z Mordkiem najbogatszy w okolicy, wszystkim pożyczają pieniędzy i naszej jasnéj pani. Jak mu żona umarła z dziewięć roków temu będzie, to wejchciał starszą panienkę za żonę, ale go nie chciała.

(*Antoni* zamyśla się).

*Zygmunt*. Teraz rutkę będzie siała.

*Jakóbowa*. A juścić. Cóż to mój nie przychodzi ze dwora, a ja nie mam co dać przekąsić panom.

*Antoni*. Nic nie szkodzi, poczekamy.

*Jakóbowa* (kłania im się do nóg). Proszę wielmożnego pana, w garderobie jest moja kuma, to jak ja pobiegnę do dworu i powiem, że tu są tacy galanto panowie, nasza dziedziczka okrutnie gości lubi, to może wielmożnych panów do siebie zaprosi.

*Zygmunt* (daje jéj pieniądze). Poczciwa, złota gosposiu masz na wstążki dla wnucząt.

*Jakóbowa* (ściska go za nogi). Dziękuję wielmożnemu panu, rychtyczek jak nasza panienka (wybiega).

SCENA III.

(Ciż sami. Zygmunt chodzi zamyślony, Antoni siada).

*Zygmunt.* *Vox populi, vox dei*, radbym sprawdzić czy i to przysłowie niezawodzi, lat 19, dobra jak anioł, wykształcona.....

*Antoni* (kładzie rękę na jego ramieniu). Kule beduinów nie oduczyły pana somnambulizmu na jawie, czy już się pokochałeś na niewidzianego? Ej! nie kupuj kota w worku.

*Zygmunt* (z zapałem). Antoni, mnie tu dobra przywiodła gwiazda. Wracałem do kraju ze ściśnioném sercem, myśląc czy po dwunastu latach niebytności zastanę kogo z moich przy życiu. Oprócz ojca, o którego śmierci jużem wiedział, wszyscy są żywi, zdrowi, kochający i tacy, jakich mieć chciałem. Wracam do swoich do Warszawy i na pierwszéj stacji los mi daje za towarzysza poczciwego człowieka.

*Antoni* (przerywa ukłonem mówiąc). Trochę prozaika, trochę sensata.....

*Zygmunt.* Ale poczciwszego niż się spodziewałem.

(*Antoni* szyderczo się kłania). Strasznie bo was odmalowali zagranicą, a raczéj sami strasznie się malujecie przed drugiemi.

*Antoni.* To już wiem, ale cóż gwiazda?

*Zygmunt.* Przepędzam cały dzień z tobą i zyskuję przyjaciela, stawamy na popas i pierwsza obca dziewczyna, bo dotąd krewnych tylko widziałem, jawi się oczom moim jak rusałka przecudna i serce żywiéj bić mi zaczyna, z myślą o téj miłości, która na ojczystéj ziemi wkrada się do serca mego.

*Antoni* (wzruszony). Marzycielu! jeszcześ nie widział téj rusałki. Wiele mówią o cnotach i powabach naszych kobiet i po części mówią prawdę. Kobiety nasze nawet mniéj dobre jeszcze są więcéj warte od swych braci, ale pamiętaj że z tego prawidła cnoty i powabów, liczne zdarzają się wyjątki. Lękam się o tę miłość twoją, która jak kąkol wyrosła w twem sercu, choć jéj tam nikt nieposiał.

*Zygmunt.* Nikt? Obejrzyj się do koła. Te nasze nadwiślańskie płaszczyzny, to niebo, które Adam z taką opiewał tęsknotą, ten lud, te błonia, i dźwięk téj mowy niesłyszanéj oddawna, to są czary, przez które się odrodziłem, i kocham koronę tego wszystkiego, kobietę córkę téj ziemi.. ..

*Antoni* (patrzy na niego z uczuciem, potém spogląda w okno). Zygmuncie! chodź tu i spojrzyj, widzisz te dwie amazonki? (Zygmunt spiesznie zbliża się do okna). Na czele jedzie grenadyer, doprawdy nieprzesadziła karczmarka, to *pannica*! *wysoka*, *tęga*, *czerwona*, *dziobata*, a to mi piękność!

*Antoni.* Jaka strojna! co za wytworny kapelusz, jakie pióro strusie, amazonka zielona aksamitna, złotem wyszywana.

*Zygmunt.* Przypomina mi bachantki z cyrku Frankoniego.

*Antoni.* Ale się trzyma doskonale i wybornie jeździ konno.

*Zygmunt.* Ach! otóż moja rusałka wysmukła, giętka, lekka. Podjedźże bliżéj boginko, niech zobaczę twarzyczkę. Cudna! powiadam ci przecudna! jakie bogactwo warkoczy wypływa z pod kapelusza..... Zeskoczyły przy kamieniu.

*Antoni.* Ale jak skromnie ubrana, nie tak jak starsza siostra.

*Zygmunt.* Starsza ma w ręku pieniądze więc wydaje wiele chce, matka widać słabowita niewtrąca się do niczego, młodsza zaś wie, że i w siermiędze byłaby piękną. Widzisz, widzisz Antoni są wdzięki, jest serce i rozum.

SCENA IV.

Ciż i Jakób.

*Jakób.* O wielmożni panowie, w izbie nie w alkierzu, a kéj moja baba? (Rozkłada przyniesione zapasy).

*Antoni.* Poszła do dworu.

*Jakób*, Oho już e do dworu z językiem, a nasze panienki przyjechały, wstąpiły do Jędrkowéj, przyjdą i do nas pewnikiem..

*Zygmunt* do *Antoniego*: Oddalmy się do alkierza.

*Antoni.* Po co?

*Zygmunt.* Ale bo widzisz nie jesteśmy ubrani a zresztą.

*Antoni.* No, no dobrze, już wiem o co ci idzie (odchodzą).

SCENA V.

*Jakób* sam. Coby tu zrobić, żeby z panienką na osobności pogadać? musi mieć jakiś interes, kiedy tu przyjechała, a to licho wlecze się za nią kieby na złość. (drapie się w głowę).

SCENA VI.

(Jakób, Celestyna, Brygida, obie ze spicrutami), Celestyna wpada z łoskotem, mówi głośno, stąpa mocno, zawadjackie ułożenie, wysoka, tęga, i brzydka).

*Celestyna* groźnie. Słuchaj ty karczmarzu, weź ten list i zanieś co prędzéj do Jasieńca. Mordko da ci kwit i odpowiedź. Ruszaj co żywo!

*Brygida* (dźwięcznym głosem). Moja Nianiu po co ten pośpiech? teraz samo południe niechby zatrzymał się do wieczora, dziś taki upał.

*Celestyna* (ostro). Idź sobie ze swoją radą! ja chcę żeby szedł zaraz.

*Jakob* (kłania się do nóg). Niemam kogo zostawić w karczmie panienko! moja kobieta poszła do dworu.

*Celestyna.* Zostaw kogo chcesz a ruszaj co tchu, bo ci każę dać sto kijów! (przez drzwi zaglądają Antoni i Zygmunt).

*Brygida* (z prośbą). Moja Nianiu gubisz siebie i matkę, czy też stara uprzęż niezdałaby się jeszcze do Buska?

*Celestyna.* Ty masz swój rozum a ja swój, ja tu jestem dziedziczką i panią, a ty—milcz!

*Brygida* (z powagą). Zapominasz o tem że do siostry przemawiasz.

*Celestyna.* Precz mi z morałami, gdyby nie ty, jużby ten cham był poszedł. Idź ztąd (zamierza się biczykiem na Brygidę).

*Jakób* (chwyta ją za rękę). Dla Boga a to co? panienko!

*Celestyna* (uderza go pejczem). Cham przeklęty! śmiał mnie się dotknąć, wiedz, żem ja nie panienka tylko *jaśnie panna.*

*Brygida* (przystępuje do Jakóba). Przepraszam was mój poczciwy, drogi Jakóbie

SCENA VII.

(Ciż i Jaknbowa, wbiega zdyszana i do nóg Celestyny).

*Jakóbowa.* Moje ślicznoty, moja złota jaśnie panna jest tu! A ja chodziła do dworu, (odprowadza ją na bok). Pani najjaśniejsza, wéj tu przyjechali śliczni młodzi kawalerowie, stoją u mnie w karczmie.

*Celestyna* (udobruchana). Tu stoją?

*Jakóbowa.* A dyć. Rozpytywali mi się o wszystko, a najbardziéj zaś o panienkę, gadałam co mi języka starczyło

*Celestyna.* (Wracam natychmiast do domu, trzeba ich prosić na obiad). Chodź ze mną Jakóbowa. (Do karczmarza). Poczekaj jeszcze z tym listem może nowe przybędą sprawunki. (oddala się z karczmarką).

SCENA VIII.

Jakób i Brygida.

*Brygida.* Bogu dzięki! (do Jakóba) jeszcze raz przepraszam was Jakóbie za siostrę, ona taka żywa, nie miejcie jéj tego za złe.

*Jakób.* E! co tam, ja biedak, ja się już urodził na poniewierkę. Ale mi serce pęka kiéj widzę że moja panienka jedyna, moja święta, moja złota, cierpi takie obelgi od rodzonéj siostry. Coby na to nieboszczyk pan powiedział kiejby ujrzał że jego dzieciątko na taką sromotę przyszło? Chciała uderzyć panienkę!

*Brygida* (spokojnie). Mój Jakóbie niepsujcie mi serca. Ja widzę najwyraźniéj opiekę Boga nad sobą, nierozżalajcie mię daremnie. Wiecie co w tym liście? Ostatnie tysiąc złp. jakie mamy w domu i na co? na szory bo siostrze się uroiło, że stare nieprzypadają do nowéj karety.

*Jakób.* Pewnie Mordko ma zrobić ten sprawunek, dopisałby drugi tysiąc do tego.

*Brygida.* A co gorzéj niebyłoby czem zapłacić żniwiarzy w Sobotę. Przyszli z tak daleka, tak ciężko pracują, i musieliby czekać na swój krwawy zarobek. O jabym się rozchorowała ze zmartwienia. Mój Jakóbie takem się dziś serdecznie modliła o pomoc jaką cudowną i tak w porę ci goście przyjechali, Bóg ich tu sprowadził.

*Jakób.* Goście pojadą, a pani wyśle swój list do Mordki.

*Brygida.* Tymczasem przyjdą mi pieniądze z cukrowni za buraki. Dajcie mi ten list mój Jakóbie, i poślejcie kogo tam do miasta, do rymarza niech przybywa jak najprędzéj; każę dawne szory odczyścić a może oszczędzę tego wydatku.

*Jakób.* Sam pobiegnę panienko i sam rymarzowi pomogę.

*Brygida.* Bóg ci zapłać! mój prawdziwy przyjacielu.

*Jakób.* Biadaż panience z takim przyjacielem niewiele on pomoże.

*Brygida.* Mamy drugiego mój Jakóbie (pokazuje na niebo). On tam w poczciwéj sprawie nieopuszcza poczciwych (wybiega). (Jakób wyprowadza ją i potem wraca).

SCENA IX.

(Antoni wybiega z alkierza, potem Jakób).

*Antoni.* Anioł prawdziwy, męczenniczka domowego pożycia. Oj! przy tém domowem ognisku, można srożéj i więcéj ucierpieć jak na stosie. (Patrzy w alkierz). A to co! pan Zygmunt wskakuje przez okno?

*Zygmunt* (wychodząc z alkierza). Podałem jéj rękę gdy wsiadała na koń, podziękowała ślicznym rumieńcem i uśmiechem, a! widziałem ją zbliska!

*Antoni.* Dla tego to te skoki przez okno.

*Zygmunt.* Koń się kręcił, karczmarz trzymał niezgrabnie, wyskoczyłem, podłożyłem rękę, a ona jak prawdziwa miss angielska, lekką stopą dotknęła méj ręki, ukłoniła mi się cudnie i mignęła przez błonie.

*Jakób* (wchodzi). Trzeba wziąść nogi za pas i daléj po rymarza. Zawołam tu dziewuchy niech pilnuje.

*Zygmuat.* Mój gospodarzu, jak na imie młodszéj panience.

*Jakób.* Celestyna.

*Antoni.* A starszéj?

*Jakób.* Brygida (wychodzi).

*Zygmunt.* Imię ślicznie dobrane do osoby, a to dragon, takiéj niewidziałem jeszcze kobiety, nawet u wiwandjerek. A ten anioł modlił się o pomoc i Bóg nas tu sprowadził. Antosiu niepowiem już nie, że to moja gwiazda, to jéj modlitwa przywiodła nas w tę stronę. Miło grać rolę jéj pomocnika, jéj wybawcy.

*Antoni.* Tu jest coś powikłanego, to wszystko niezgadza się z opowiadaniem karczmarki?

*Zygmunt.* Niezgadza? co tobie Antoni, zgadza się jak najzupełniéj. Matka chorowita, tamten hajdamak przewodzi i dokucza; a ta między słomianą wolą matki a żelazną starszéj siostry stoi jak rozsądek i serce, tu broni, tam pociesza, tu powstrzyma nierozważny wydatek ot! i wszystko jasno jak na dłoni.

SCENA X.

Ciż i Lokaj.

*Lokaj.* Jaśnie wielmożna sędzina Barska prosi wiel. panów do siebie na obiad.

*Antoni*, Dziękujemy ślicznie i stawimy się na rozkazy JW. sędziny. O któréj pani jada?

*Lokaj.* O 4téj.

*Antoni.* Dobrze stawimy się na 4tę.

*Zygmnnt.* Czy to niezapóźno jak na wieś?

*Lokaj.* Szlachta okoliczna jada o 1éj, ale pan baron Sznycel i pan graf Foks jadają o 4ěj. Tak zawsze jaśnie państwo jada (kłania się i odchodzi).

*Zygmunt.* Z tego wnoszę, że sędzina jest kobieta światowa.

*Antoni.* I próżna.... niechce jadać jak *szlachta*.... mój Boże! za co to już mają tę biedną szlachtę?.... Wolą się zapatrywać na Foksów i Sznyclów...:.

*Zygmunt.* I to nas gubi podobno. Ale co tam! żale na bok! (przystępuje do Antoniego przyglądając mu się)..... Antoni tyś piękny mężczyzna.

*Antoni* (cofając się zdziwiony). I cóż?

*Zygmunt.* Tyś piękny mężczyzna, biały, świeży. wysoki, tacy się kobietom podobają.

*Antoni* (z zadowoleniem muszcze wąs i brodę i prostuje się).

*Zygmunt.* Co za różnica ze mną! ja opalony, czarny, doprawdy ja się wcale podobać niemogę.

*Antoni* (z uśmiechem). Zazdrosny, wyraźnie zazdrosny o mnie.

*Zygmunt.* Na tobie znać warszawiaka, wymuskany, wychuchany, choćby 200 panien było w salonie, każdéj umie grzeczność powiedzieć.....

*Antoni.* To bywało przed 20 laty, dzisiaj grzecznosc dla kobiet nie w modzie.

*Zygmunt.* Ale ty umiesz być grzecznym jak zechcesz? Bądź *bardzo* grzeczny dla mamy i panny Brygidy.

*Antoni* (śmiejąc się) Ha ha! tędy droga? o to panu idzie.

*Zygmunt.* W rozmowie z p. Brygidą, przypinaj mi nieznacznie łatki, wszakeś mój przyjaciel, najlepiéj to umieją przyjaciele.

*Antoni.* Doprawdy? No to i ja spróbuję powiem np. żeś szuler.

*Zggmunt.* A fe! to nieprawda i powtórzyłaby matce.

*Antoni.* Więc, że lubisz łyknąć.

*Zygmunt* (żywo). Kiedy i to nieprawda, (toby mi usłużył).

*Antoni.* Że nienawidzisz kobiet, lub że je za nadto kochasz.

*Zygmunt.* E! zmiłuj się, chceszże mię pozbawić ręki Celestyny? Powiedz pannie Brygidzie naprzykład żem skąpy, że nielnbię strojnych kobiet, że lubię w kobiecie naukę, rozum, słodycz.

*Antoni.* A ona to wszystko weźmie do siebie.

*Zygmunt.* Bydź może, bydź może, ona gotowa myśleć, że jest dobra i piękna; czego to miłość własna w kobietę niewmówi!

*Antoni.* Wmówi, wmówi nawet w mężczyznę, miłość własna jest wadą płci obu.

*Zygmuut.* Mniejsza o to, pamiętaj pomagać mi przy tych paniach.

*Antoni* (dobywa zegarka). Ale to już 4ta a my jeszcze nieubrani (odchodzą do alkierza).

*Zasłona zapada.*

## Akt II.

(Salon sędziny).

### SCENA I.

(Celestyna, Sędzina siedzi w krześle z robotą w ręku, blada, przesadna, mówi z przesadą, głos trochę złamany).

*Celestyna* (stoi przed matką). Tak matusiu, nie jedziemy jeszcze do Buska, matusi to wszystko jedno, parę dni prędzéj czy późniéj, a ja chcę, żeby i ci panowie za nami się wybrali.

*Sędzinu.* Czy tylko się wybiorą?

*Celestyna* A jakże! oni wiedzą że ja sobie tego życzę. Muszę też matusi powiedzieć com słyszała dziś rano. (idzie do zwierciadła). Wszak ja jestem piękność, nieprawda?

*Sędzina* (z uśmiechem). Śliczna jesteś moje dziecię, ale pamiętaj że wdzięki mijają a edukacja zostanie.

*Celestyna.* Albożem nie dosyć edukowana! Czytam po angielsku, po włosku, przez rok miałam szwajcarkę, umiem po niemiecku, gram śpiewam, tańczę solo kaczuczę, czegóż mama jeszcze wymaga?

*Sędzina.* Żebyś niezaniedbywała tych talentów, moje dziecię, oddawna książki w ręku nie miałaś.

*Celestyna* (tupiąc nogą, krzykliwie). A niech przepadną książki, pókiż ja będę się uczyć! mnie już trzeba wydać za mąż a matka o tém nie myśli, czy ja się mam starać sama o męża?

*Sędzina.* Moje złotko najmilsze, to nie uchodzi zacnéj pannie; o ciebie mąż starać się powinien.

*Celestyna.* Mama chce mię tak uwędzić jak Brygidę, ale ja nie pozwolę na to. Ja mam swój rozum i swoje zdanie. (Łagodniej, zbliża się do matki). Szłam dziś szpalerem do stajni, żeby zobaczyć co mój koń porabia, obok szpaleru na ławce słyszę rozmowę. Ci panowie siedzieli i rozmawiali o nas.

*Sędzina* (kładzie robotę). Czyś słyszała co mówili?

*Celestyna.* Wszyściusieńko. Mówili że matusia bardzo miła i uprzejma, szkoda że chorowita, (Sędzina kaszle), że Brygida to hajdamak, dragon, stara pannica, (śmieje się i Sę-

dzina także), słyszy matuś, stara pannica, ciekawy egzemplarz, jędza (śmieje się).

*Sędzina.* A o tobie Niuniu?

*Celestyna.* Że jestem piękna jak anioł (matka spogląda z chlubą), rozumna, dobra i (podchodzi do matki) wie matusia? mnie się zdaje, że jeden z nich we mnie na zabój zakochany.

*Sędzina* (z radością). Zkądże to wiesz?

*Celestyna.* A, bo jak wstawali z ławki, jeden mówił do drugiego co szedł po lewej stronie, jak widzę tyś w niéj zakochany na zabój. Ale nie wiem który był z prawej, a który z lewej, nie mogłam też rozpoznać po głosie, więc nie wiem który.

*Sędzina* (z dumą). O! ja wiedziałam, że wychowanie jakie dam córce mojéj będzie wzorowe, że każdy odda mi sprawiedliwość.... Nie szczędziłam też niczego na edukację. W naszym rodzie to już tak zwykle. Majątku dzieciom nie dadzą, lecz dadzą edukację. Pójdź Niuniu niech cię ucałuję.

*Celestyna* (idzie i pozwala się całować matce po głowie i twarzy).

SCENA II.

(Ciż i Brygida biało skromnie ubrana, wchodzi i siada przy drugim stoliku biorąc za robotę).

*Celestyna* (do matki). Przyszedł hajdamak, ciekawy egzemplarz, jędza. Matusiu wszak ona bardzo brzydka?

*Sędzina* (z westchnieniem). Nie tak bardzo mój aniołku.

*Celestyna* (chmurzy się). Ja się jeszcze ubrać muszę; coby to dziś włożyć na głowę, chyba girlandę paryzką?

*Sędzina.* Czy nie masz co innego, to nie właściwe.

*Celestyna* (stanowczo). Ja najlepiej wiem co właściwe dla mnie i w czém mi do twarzy.

*Brygida.* I matka twoja wiedzieć to musi.

*Celestyna* (z przekąsem). Gdzie się tam znają starzy na ubiorze młodych. Starym koronka, piwko ciepłe i pacierze Młodzi mają swój rozum.

*Sędzina.* Nieźle jednak posłuchać czasem starszych.

(Brygida patrzy na nie ze smutkiem).

*Celestyna* (ostro). Nigdy jeszcze nie słuchałam i słuchać nie będę.

*Brygida* (łagodnie). To zapewne wiesz moja Niuniu, że lepiéj za mało się ustroić niż za nadto i że prostota pierwszym jest warunkiem piękności Przejrzyj się w zwierciedle, co tu świecideł! bransolety, zegarek, brosze, perły, powiedz sama czy to ładnie?

*Sędzina.* Prawda, trochę tego za wiele.

*Celestyna* (krzykliwie). Co! i matka moja dopomaga temu staremu grzybowi, który mi przygania? (szyderczo) Zazdrości mi, wie o tém, że przy mnie źle się wyda.

(Sędzina szyje pilnie).

*Brygida* (z uśmiechem i westchnieniem). Oj! podobno przy tobie nikt tu z nas dobrze wydawać się nie może.

*Celestyna* (uradowana). Zapewne, zapewne. (wybiega).

SCENA III.

(Ciż, Antoni, Zygmunt).

*Antoni* (do sędziny). Witamy panią dobr: jakże dziś zdrowie?

*Sędzina.* Trochę lepiéj, dla tego wstrzymałam nasz wyjazd. Muszę też poczekać na karetę; powóz mam tak nie wygodny.

*Zygmunt.* Kiedyż panie wyjeżdżają?

*Sędzina.* Za kilka dni dopiero, tak chce moja córka.

*Antoni* (do siebie). Tak chce jéj córka, ale która— własna czy przybrana? (do Brygidy) Czy pani sobie życzy téj zwłoki?

*Brygida.* O, bardzo pragnę, żeby ten wyjazd jeszcze nie nastąpił.

*Zygmunt* (do Sędziny). Daleko ztąd do Buska?

*Sędzina.* Mil kilkanaście, drogi dobre, mogliby panowie pojechać z nami, żeby poznać tamte strony, a bardzo ładna okolica.

*Antoni.* Ja pani dobrod. znam dobrze Busko, mój przyjaciel może się da namówić.

*Zygmunt* (przechodząc do Brygidy). Z całego serca. Tak dawno nie byłem w kraju, że teraz wszystko nowe mi się wydaje.

*Brygida.* I wszystko drogie i piękne. Piękniejsze zapewne niż było dawniej, bo zidealizowane wspomnieniem i tęsknotą.

*Zygmunt* (z zapałem). I takim czarem otoczone, że dotąd jeszcze opamiętać się nie mogę (patrzy na nią).

*Antoni* (do Sędziny). Podziwialiśmy ogród pani, piękny, bardzo piękny!

*Sędzina* (z uśmiechem). Mówiła mi córka, że panów widziała w ogrodzie.

SCENA IV.

(Ciż i Celestyna wchodzi z girlandą na włosach).

*Celestyna.* A co matusiu, czy dobrze? (z dygiem wymuszonym) witam panów, (mężczyzni kłaniają się, Zygmunt patrzy z pogardą, Antoni z uśmiechem).

*Sędzina.* Dobrze moje dziecko. Czy wiesz że ci panowie może będą w Busku?

*Celestyna.* Trzeba żeby panowie Busk odwiedzili, tam się tak dobrze bawią, takie dystyngowane towarzystwo tam bywa.

*Zygmunt* (grzecznie). Bardzo dystyngowane, skoro panie tam będą.

*Celestyna* (pogląda z tryumfem na matkę i siostrę).

*Sędzina* (de Antoniego). Pański przyjaciel bardzo do rzeczy.

*Antoni.* Przezacny chłopiec, a jaki rozum, a jakie serce!

*Celestyna* (idzie do fortepianu).

*Sędzina.* Może co zaśpiewasz Niuniu?

*Celestyna* (z minami). Podobno dziś jestem przy głosie. (Bierze nuty, śpiewa jakąś francuzką lub włoską arję, głosem grubym i fał-

szywie. Sędzina patrzy w nią jak w tęczę. Antoni stawa za nią i przerzuca nuty. Zygmunt siada przewracając karty w książce).

*Brygida* (podniósłszy się, opiera czoło na ręku, do siebie). Że téż matka pozwala jéj śpiewać.

*Zygmunt* (do siebie). Sędzina pewnie jest nieco głucha. Ten głos musi wpadać w jéj ucho bardzo zmieniony.

*Brygida* (głośno po skończonym śpiewie). Zdaje mi się, że fortepian niedostrojony do głosu Niuni.

*Sędzina* (żywo). Mylisz się, ślicznie śpiewała, nic harmonji nie psuło. (Mężczyźni dziękują za śpiew Celestynie).

*Zygmunt* (do Brygidy). Czy pani śpiewa?

*Brygida*. Bardzo mało, mama nie lubi głosu mego, drażni jéj nerwy.

*Sędzina*. Ale dziś zdrowszą jestem, to możesz śpiewać, (do siebie) poznają że nieuczona.

*Zygmunt* (prowadzi ją do fortepianu).

*Celestyna* (śmieje się, do matki). Ona ani jednéj arji nie umie.

*Brygida* (śpiewa).

Na dolinie u jeziora
Szumią gaje, kwitnie niwa,
Na modrzewiu słowik śpiewa,
Od wieczora do wieczora i t. d.

(Artystka może śpiewać cały ten wiersz Mickiewicza lub tylko parę zwrotek).

(Zygmunt stoi oparty o jéj krzesło, Antoni słucha z przyjemnością, Sędzina i Celestyna uśmiechają się do siebie. Brygida wstaje od fortepianu, nikt jéj nie dziękuje, idzie układa nuty).

*Celestyna* (szyderczo do zamyślonego Zygmunta). Jakże się panu podoba głos mojéj siostry?

*Zygmunt* (jak ockniony). Panna Celestyna śpiewa jak anioł.

*Antoni* (do Sędziny). To prawda.

*Sędzina* (z wdziękiem). Nadto pan uprzejmy, tak mało się uczyła, dopiero myślę sprowadzić jakiego artystę.

*Celestyna*. Ale jak się panu podoba głos mojéj siostry?

*Zygmunt*. Powtarzam pani, że panna Celestyna śpiewa jak anioł.

*Celestyna* (z przekonaniem). Wiem o tém, wszyscy mi to mówią, ale siostra moja?

*Antoni*. Jakto siostra? czyż pani masz inną siostrę?

*Zygmunt* (pokazuje na Brygidę). Wszak téj pani na imie Celestyna?

*Celestyna*. A pan cóż myślał?

*Zygmunt*. Że Brygida, starsza, to pani, a Celestyna....

*Celestyna* (z krzykiem). Matusiu uchybiają mi we własnym moim domu, a matusia nic nie mówi! (Mężczyzni stoją jak odurzeni, sędzina się podnosi i uspakaja córkę, Brygida przybiega z obawą).

*Brygida*. Moja Niuniu co ci to, czyś się skaleczyła?

*Antoni* (do siebie). O! i okropnie zadraśniona miłość własna.

*Celestyna* (do Brygidy). Precz! ty poczwaro, precz, dołki podemną kopiesz (z płaczem) jędza, ciekawy egzemplarz, to ja, anioł, piękność to ona! Wypędzić ich matusiu, wypędzić!

*Antoni*. Diabla sprawa, trzeba to jakoś załagodzić.

*Zygmunt* (do Brygidy z radością). Więc to pani Brygida? pani, o co za szczęśliwa pomyłka!

*Brygida*. Czyż pan tego nie wiedział?

*Antoni* (do Sędziny). Pani dobr. mój przyjaciel doprawdy oszalał.

*Sędzina*. Co? szalony, o! niech się ztąd oddali co rychléj.

*Antoni*, I dla tego, nie wie co mówi, inaczéj nie byłby się tak grubo pomylił. (Celestyna łzy ociera).

*Zygmunt*. Szczęśliwa pomyłka! (do Antoniego) ona wolna, ona pełnoletnia! a ja się obawiałem dumy Sędziny i podstępów starszéj siostry. (Brygida wybiega zawołana przez lokaja).

*Sędzina*. Starsza siostra to ona.

*Celestyna*. Niegodziwiec, warjat, mnie, mnie wziął za starą pannę!

*Antoni*. Pamiętaj że ona ma lat 32, wiek dobry do różańców i koronki.

(Brygida wraca).

*Zygmunt* (do Antoniego). Spojrz na nie obie i powiedz, po któréj stronie rozum, powab i uczucie? Którą byś wybrał z tysiąca?

*Antoni* (z cicha). A zapewne że nie tego tambur mażora. (głośniéj). Ma na imie Brygida, imie szkaradne nieestetyczne. (Brygida się uśmiecha).

*Celestyna* (do matki). Matusiu ten pan niech zostanie on ma rozum. (ciszéj) To on się we mnie kocha na zabój.

*Sędzina* (wskazując na Antoniego). Ten pan ma rozum i wychowanie.

*Zygmunt*. Brygida... prześliczne imie! Brygida!

*Antoni*. Jak nagle słuch mu się rozwiązał, dopatrzył boskich tonów w tém imieniu, gotów jeszcze oratorjum z niego napisać.

*Sędzina* (z przyciskiem). Uprzedzam panów, że starsza sędzianka będzie tylko miała 40,000 posagu.

(Celestyna pogląda złośliwie, lokaj znów Brygidę wywołał).

*Zygmunt*. 40,000! o ja nieszczęśliwy!

*Antoni*. Zapewne lepiéj byłoby mieć i ten lasek który wart był dwa razy tyle, a w którym dziś sosny ani poświecić.

*Zygmunt*. Posag, barbarzyństwo europejskie! Arab kupuje żonę, a raczéj okupuje swe szczęście u rodziców. biorąc im córkę z domu. A tu dostajesz kobietę, o jakiéj w marzeniach

trudno i jeszcze ci do niéj dopłacają, jak gdyby niedosyć szczęścia pozyskać taki skarb!

*Celestyna.* Matusiu, on ją skarbem nazwał. Mnie jeszcze nikt nie powiedział że ja skarbem.

*Sędzina.* Jesteś najdroższym klejnotem matki twojéj, dziecię drogie!

*Antoni.* Piękny klejnot.

(Zygmunt rozmawia z Brygidą).

*Celestyna.* Co mi tam jabym wolała być skarbem mego męża, oj! ta niegodziwa, ta filantropka, jak ją nazwał kiedyś pan Karol.

*Antoni.* Filantropka, doskonale nazwał pannę Brygidę.

*Celestyna.* I pan powiada że doskonale! Matusiu co znaczy filantropia?

*Sędzina.* Znaczy obłudę i chciwość (do Antoniego), wszak tak?

*Antoni* (z powagą). W dzisiejszych czasach słowo w słowo tak, pani dobrodziejko, dawniej inne miała znaczenie.

*Zygmunt* (do Brygidy). Poczciwy Antoni chce naprawić to com ja popsuł.

*Brygida.* Na nic to się panu nie przyda.

*Sędzina* (do Antoniego). Nieżałuję mojéj gościnności względem pana, ale co za szkoda iż towarzysz jego tak źle się znalazł w mym domu.

*Celestyna.* Rada jestem, żem pana w dom swój przyjęła, ale co tamten warjat niech ztąd wychodzi, uchybił mi i bardzo uchybił.

*Antoni.* Aż dwie gospodyń i która *de facto*? podobno że córka.

*Brygida* (zbliża się). Matko tu nikt niewinien; pan Zygmunt oddaje wszelką sprawiedliwość Niuni, tu zaszła tylko co do imion pomyłka.

*Celestyna* (z płaczem). Pomyłka! ciekawy egzemplarz, ja! hajdamak, ja!....

*Sędzina* (surowo do Brygidy). Panna zadługo chleb mój jadłaś, i zbyt źle odwdzięczyłaś mi za moje dobre serce. Czas ustąpić z tego domu, możesz jechać do twego folwarku. Jesteś tak dawno pełnoletnia.

*Celestyna* (skacząc). O to matuś rozumnie uczyniła.

(Zygmunt patrzy smutno).

*Antoni.* Pani dobrodziejko, przyjm do łaski pannę Brygidę. ona nic niewinna.

*Brygida* (z godnością). Dziękuję panu za przychylność, ale tego nie potrzeba. Póty jadłam chleb sędziny, pókim sądziła, że ją uratuję od nędzy i długów. Lat 6 zabiegów i męczarni, taki wzięły koniec, prędzéj czy później to nastąpić miało. Opuszczam więc dom ojca mego i tę włość, w której od 300 lat mieszkali moi przodkowie; stanie onn się łupem lichwiarzy i żydów, a wdowa po moim ojcu zejdzie na żebraczkę. To jest skutek nierządu i pychy.....

(Sędzina i jéj córka niecierpliwią się).

*Celestyna.* Och! wystąpiła z perorą.

SCENA V.

(Ciż i lokaj).

*Lokaj* (do Sędziny). Proszę jaśnie pani, Mordko przysłał nową karetę.

*Sędzina* (zrywa się). Idę, natychmiast idę, pójdziesz Niuniu?

*Celestyna.* A liberja dla forysia czy przywieziona? (wychodzą).

SCENA VI.

(Brygida, Zygmunt, Antoni).

*Brygida.* Z pod mojéj strzechy rodzinnéj wychodzę, bez pożegnania siostry, bez błogosławieństwa matki. Unoszę z sobą żal. iż tyle walk, tyle zabiegów opóźniły na tak krótko nasz upadek.... (chodzi po salonie), Ten obrazek, pamiątka po umierającym ojcu, (zdejmuje go ze ściany) niechże mi stanie za błogosławieństwo rodziny. Trzeba więc oddalić się ztąd, gdzie tyle cierpiałam.... a gdzie mię tak wiąże serce i wspomnienie. Dokądże pójdę? gdziekolwiek... Bóg jest wszędzie, (idzie ku drzwiom, Zygmunt zachodzi jéj drogę).

*Zygmunt.* Pani! panno Brygido.

*Brygida* (podnosi głowę). A, to pan! powiedz mi pan, co to się stało, czém pan obraził te panie? dla czego na mnie się rozgniewały? Ja mam tyle domowych kłopotów na głowie, że doprawdy, często nie wiem co się dokoła mnie mówi...

*Antoni.* Więc pani jeszcze nie wię?

*Zygmunt* (z boleścią). Nie wie że ją kocham! że ją ubóstwiam, nie wie że... o ja nieszczęśliwy, nawet się nie domyśla niczego.

*Brygida* (do Antoniego). Ten pan mnie kocha, a dla czego?

*Antoni.* Dziwne pytanie, zdaje mi się dla tego, że pani godną jesteś kochania i gdybym nie miał już narzeczonéj i ja szalałbym za panią.

*Brygida.* Kocha mię? od śmierci mego ojca nikt mi nie powiedział, że mię kocha. Panie Zygmuncie!..

*Zygmunt.* Pani.... jeżeli masz mi odmówić twéj ręki, to lepiéj.., ale nie, te śliczne usta nie odważą się zabić mię jednym wyrazem:

*Brygida* (z uśmiechem). Tego zabójstwa nie popełnię, panie Zygmuncie, jeżeli ręka sieroty może ci przynieść szczęście, oto ją masz! (podaje mu rękę).

*Zygmunt* (klęka). O mój aniele przejasny, moja najdroższa!

*Antoni* (całuje drugą rękę Brygidy). On panią kochał nie widząc jeszcze pani, wart biedak téj nagrody.

SCENA VII i ostatnia

(Sędzina i Celestyna ukazują się we drzwiach, Sędzina załamuje ręce, Celestyna tak samo, ale aż nad głową.)

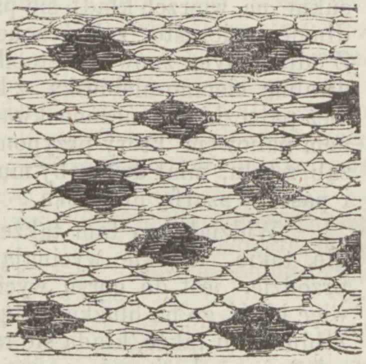
*Celestyna.* Matusiu, oni obadwa kochają się w niéj na zabój!!!!

*Julia Janiszewska.*

# Dodatek do Zeszytu XV Kółka Domowego.

## Bucik dziecinny.





Podajemy tu modelik bardzo ładnego dziecinnego bucika, według którego szewc powinien wyciąć formę stosowną do wielkości nogi dziecka. Następnie wycina się ją z kanwy i zarabia ściegiem i deseniem który podajemy także. Na ścieg taki bierze się półkrzyżyki, rachując trzy nitki wzdłuż i mijając jedną nitkę w następnym rzędzie, a ten co idzie po nim robiąc znów w tym samym rzędzie co pierwszy i tak aż do końca. Tło bucika zarabiane jest biało, w rzuciku zaś każdym, trzy ściegi od góry czarną, a czwarty u dołu żółtą włóczką zarabiany.

---

## O UBIORACH.

Już prawie mowy niema o krajaniu sukni w równe bryty, co to później mogły się przydać na inny użytek; dziś nietylko suknia ale i spodnice krają się w kliny, z małą ilością fałdów z tyłu, lub wcale bez fałdów. Wśród nowych wzorów sukien, które nadeszły do magazynu pana Pękali, uważałyśmy w kroju zwanym Gabryelą, dwie części, to jest przód i część tylną spadającą dłużéj, w kształcie ogona. Taką suknię widziałyśmy przygotowaną na większe ubranie; przód był z białego tarlatanu, tył zaś poczynający się roztwierać od pasa, coraz szerzej ku dołowi, był z materji jedwabnej zielonej. Na obu bokach i w pośrodku były rozcinania spajane w pewnych odstępach, obgarnirowane w około riuszami wycinanemi w ząbki, z tejże materji i wypełnione bufami z białego tarlatanu, stanik jedwabny zielony był wycięty i dopełniony bluzką tarlatanową. Suknia ślubna dla panny S. z Kujaw, którą wykończono w tym magazynie, zasługuje także na opis. Gładką tarlatanową ukośno krajaną, bez najmniejszego fałdu spódnicę, pokrywały w zupełności bufki z takiegoż tarlatanu, szerokie na trzy palce, idące ukośno od lewej ku prawej stronie. W takim że kierunku szedł łańcuch z kwiatu pomarańczowego, przypięty małym bukiecikiem na lewem ramieniu, następnie na prawym boku, trzeci zaś już feston tego łańcucha, szedł ku dołowi spódnicy i tam się kończył trzecim bukiecikiem. Stanik był cały w bufki do gorsu, gdzie go garnirowała riusza z tarlatanu wycinanego w zęby, górna zaś część stanika równie jak i rękawy naszyte były w podłużne zakładki. Trzecia suknia mniej strojna a gustowna, była z wełnianej srebrzystej materji, w duże grochy *hawanna*. Dół wycięty był w spiczaste zęby średniej wielkości, spadające na plisę gładką jedwabną tegoż koloru co rzucik. Do tego był staniczek pod szyję z rękawami nieco rozszerzonemi u ręki, jak to teraz wchodzi w modę, oraz paletocik zwany chiń-

skim, to jest rozcięty na boku i rozchodzący się z każdéj strony, na dwa długie zęby zakończone kutasami. Obszycie paletotu było takie jak dołu sukni, na wierzch kładł się pasek spięty z przodu rozetą, a mający z tyłu długie, spiczasto zakończone szarfy, z materji jedwabnéj koloru plissy. Z odmiennym znów paletocikiem była suknia z białéj alpagi z plissą jedwabną ciemno-niebieską, z któréj, w pewnych odstępach szły w górę takież pałeczki zakończone kwadracikiem, wszystko zaś było obszyte galonem paliowym który przypominał słomkę. Paletot wycięty był w wielki ząb z tyłu, miał dwa zęby mniejsze po bokach, obszycie takie jak u sukni i pasek z szarfą niebieską.

Widziałyśmy tam także staniki do sukni z baskinami w zęby okrągłe, takie, w jakie wycinają gorsety wiejskie. Stanik ten spina się na przodzie, jest do gorsu wycięty i rękawy ma z krewetami, najstosowniéj więc kłaść go na bluzkę białą, któréj rękawy widać będzie przez krewety. Z bluzkami także, kładą się tak zwane gorseciki, to jest staniki dochodzące zaledwie pachy i mające ramiączka z sutem wygarnirowaniem tworzące epolet, bywają także i gorseciki bez ramiączek.

Nic piękniejszego jak opaski z naramiennikami, które oglądałyśmy w magazynie p. Pękali. Na niebieskiéj jedwabnéj materji naszyta była koronka *cluny* (przez środek medaliony, po bokach zaś ząbki). Z przodu naramienniki rozchodziły się od paska w ząb, rozszerzając się ku ramionom, z tyłu zaś łączyły się, tworząc jakby duży kołnierz, którego ząb zakończony był trzema płaskiemi kokardami i końcami ze wstążki. Ubranie to może się tylko kłaść na biały stanik, wszakże spódniczka może być inna tylko stosownie dobrana. Widziałyśmy tam jeszcze różne inne oryginalne paski szwajcarskie po cenie od 3 do 10 rubli, a między innemi czarny z szerokiemi z tyłu szarfami podszytemi sztywnym tiulem i ubranemi wąską niebieską aksamitką.

W okryciach ta zachodzi odmiana, że rękawy do paletotów wracają się rozszerzone i otwarte u ręki, inne zaś okrycia są najwięcéj koliste, jak np. burnusy zwane Afrykańskiemi w cenie od 18 do 26 rubli, i przeróżnego wystroju beduiny. Było jedno okrycie z czarnego kaszmiru pod nazwą perskiego, na którem był naszyty z tyłu wąski ząb z jedwabnéj taśmy i lawowych perełek idący od szyi, a kończący się aż na samym dole kutasem. Cena téj *persanki* wynosiła rubli 40. Do nowości wznowionych policzyć można śliczny watowany aksamitny paletocik, wcięty w kształcie sukmanki, a obszyty na trzy palce szerokim pluszem jedwabnym, przypominającym szenszyllę. Bardziéj oryginalnym niż ładnym wydał nam się kaftaniczek do pokoju, czarny jedwabny, cały naszyty ukośnie, bardzo gęsto, mleczno-białemi perełkami.

---

## O pielęgnowaniu truskawek.

Truskawka jest to piękny i smaczny owoc, z tego powodu zasługuje na staranne pielęgnowanie, a choć jest dosyć powszechną rośliną, chcąc jednak mieć piękne i obfite owoce, potrzeba obejść się z niemi podług wymagania natury.

Truskawek dziś liczymy wiele bardzo odmian, które różnią się, jedne smakiem i kolorem, drugie kształtem i wielkością owocu, wszystkie jednak w jeden sposób hodowane być mogą.

Truskawki lubią ziemię pulchną, i zarazem żyzną; miejsce cokolwiek zacienione, lecz nie zbyt, gdyż w cieniu zupełnym mało dają owoców. Roz-

mnażają się z nasienia, zebranego z dojrzałych dobrze owoców i wkrótce po zebraniu siane być powinny, gdyż ledwie pół roku trwać mogą nasiona, lecz daleko łatwiejszy jest sposób rozmnażania i bez zmiany gatunku, rozdzielając stare krzaczki, lub też z odrostków, które z łatwością około krzaczka wychowują się. Przygotowawszy więc zagon, w ziemi i miejscu odpowiedniem, zasadzić rozdzielone lub odjęte flance, (które powinny być dosyć mocne) najmniéj o dziesięć cali jeden od drugiego, po zasadzeniu polewać, aż póki nie przyjmą się. Truskawki wiele puszczają wąsów, należy je przynajmniéj trzy razy przez lato nożem przy krzaczku obrzynać; w czasie suszy polewać ciągle, aby wzmocniły się w korzeniach. Czas do przesadzania truskawek jest najlepszy na wiosnę, lub w końcu Sierpnia, truskawki po trzech latach rosnąc na jednem miejscu, przestają wydawać owoce: dla tego więc w czwartym roku koniecznie przesadzone być powinny na nowo urządzone zagony.

Główne przyczyny dobrego plonu, zależą od obchodzenia się starannego, z krzaczkami tak truskawkowemi jako i poziomkowemi, w ciągu wiosny i lata; gdyż jeżeli w tym czasie rośliny nie będą starannie czyszczone z odrostków niepotrzebnych i wąsów, wszystkie się poplączą i jedne drugim odejmą siłę wzrostu i kwitnienia, potrzeba więc przed okwitnieniem, obejrzéć wszystkie krzaki; powyrywać stare które nie zakwitły, gdyż jeżeli raz nie zakwitły już kwitnąć nie będą, a obok tego zostawić młode, powstałe z odrostków, roku przeszłego; resztę zaś odrostków które by zagęszczały zagon, wyjąć i posadzić na innym kawałku ziemi, dla wzmocnienia, aby były zdatne do nowego założenia zagonu, lub też na zbycie; po okwitnieniu obejrzeć powtórnie i poobrzynać wszystkie wąsy, jako też odrostki niepotrzebne. Chcąc mieć dla osobliwości w jesieni owoce, wybrać co rok inny kawałek zagonu; gdyż co rok też same nie dadzą się tak użyć, a zaraz po wiosennym zbiorze jagód, odciąć wszystkie liście i wąsy, zostawić je tak na parę tygodni (choćby sucho było nie polewać), aby odpoczęły, potem obsypać świeżą ziemią, poruszywszy wpierw ziemię około krzaczków na zagonie i oczyściwszy z zielska jeżeliby było, polewać obficie, ale tylko same korzenie, to krzaczki na nowo zaczną rosnąć i krzewić się, wtedy wyrastające wąsy odcinać, a wkrótce pokażą kwiaty i niekiedy obfitsze niż pierwsze.

Ponieważ truskawki lubią wilgoć, dobrze jest po przekwitnieniu, zagon na którym rosną wysłać mchem do dwóch cali grubo; jednak po zebraniu jagód, mech zebrać koniecznie potrzeba; z takiego przykrycia jest korzyść że wilgoć dłużéj trzyma, słońce nie tak wypala i że jagody nie dotykając ziemi, zawsze są czyste. W końcu, jak przy wszystkiem tak i tu czystość jest konieczną, a zatem często opielać zagony, i ziemię poruszać, a w czasie suszy polewając, polewać obficie, gdyż mało dając wody, nie tylko że nie pomagamy im, ale szkodzimy. *J. Poznański*.

---

## Pierniki.

Do kwarty miodu bierze się dobre półtory kwarty mąki na wpół żytniéj pytlowéj i pszennej. Wlawszy miód w rądel, trzeba go jak najmocniéj na węglach z wosku wyszumować; po wyszumowaniu wsypać skórek pomarańczowych drobno pokrajanych, wykroiwszy białą gorzką skórkę, trochę anyżu, kolendru, cynamonu drobno pokrajanego, migdałów ze dwadzieścia obranych i drobno posiekanych, cukru najmniéj łutów cztery, a im więcéj tém lepiéj bo ten kruchość nadaje. Z tem wszystkiem trzeba miód znowu gotować, a w tym czasie mąkę przygotowaną prażyć, gdy i mąka i miód będzie najgorętszy mąkę przesiać na niecknę, a miód odstawiwszy od ognia,

wlać w niego kieliszek jak najtęższéj okowity; potem miód gorący do mąki gorącéj wlać i używszy kilku ludzi do bicia i trzymania na przemiany, jak najprędzéj i jak najlepiéj bić trzeba dopóty, dopóki wałek od ciasta sam nie odstanie, co jest koniecznêm. Potém porobiwszy pierniki wielkości do upodobania, ułożyć na blachy i wstawić w piec, gdzie niezmiernie trzeba pilnować, żeby się nie przypaliły; gdy się tylko przyrumienią będą w miarę upieczone; wyjąwszy z pieca, póki gorące będą miękkie, jak ostygną ztwardnieją zupełnie, ale się w ustach rozpłyną; przez długie leżenie znowu zmiękną ale równie dobre będą. Zawsze się udadzą gdy przepis wypełniony ściśle.

### Inne pierniki.

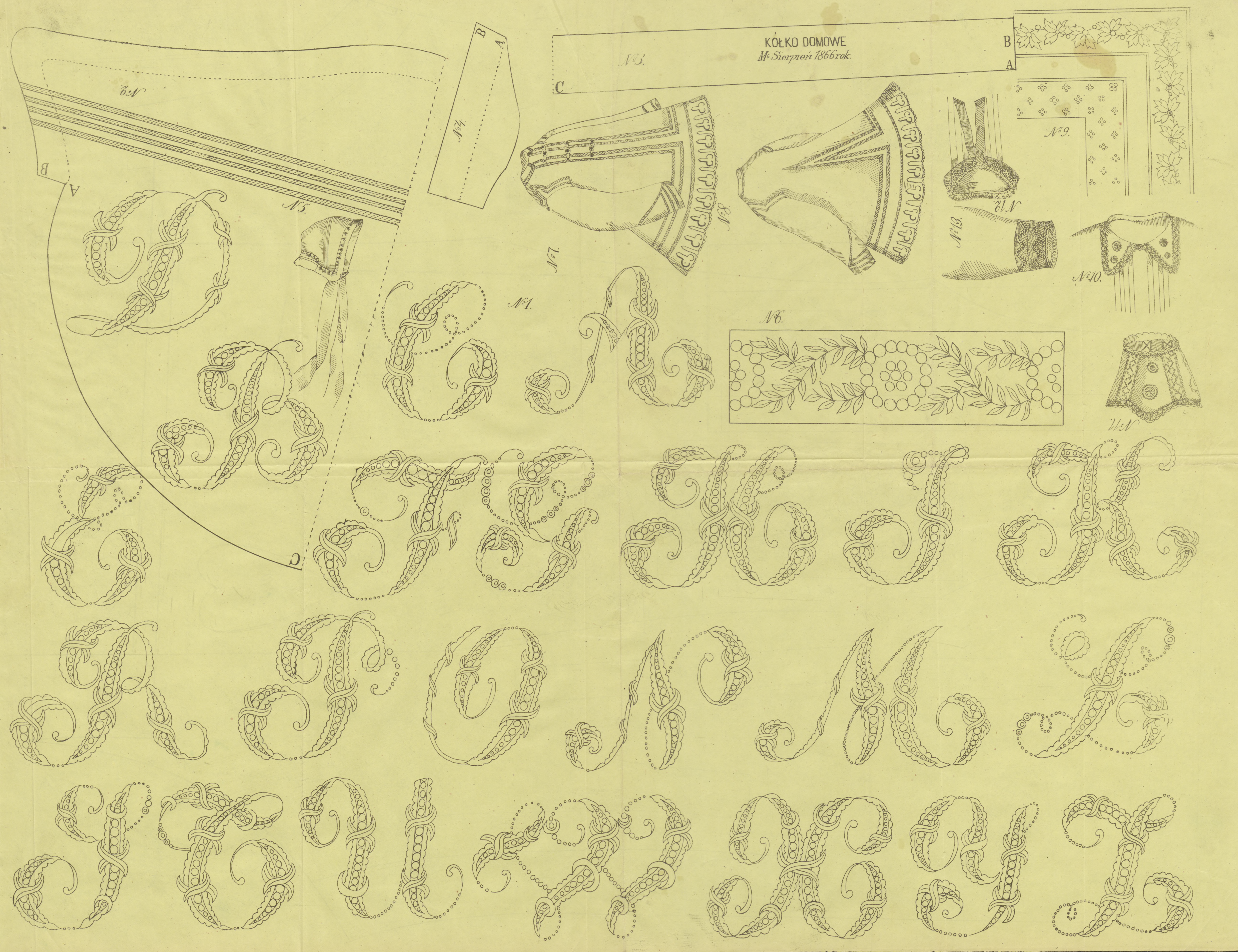
Wziąść miodu kwartę jednę, w małym rądelku, na dynarku przy węglach smażyć, lecz nim jeszcze zacznie się smażyć, wlać kieliszek okowity i póty mieszać póki się ze wszystkiém okowita nie wymiesza; tak niechaj się smaży dopóki się żółta piana nie pokaże, wystawić potem i jak przestygnie szumowiny blaszaną łyżką zebrać; wziąść mąki żytniéj pytlowéj, przesiać, niech będzie gotowa, potem trzeba włożyć w miód skórek pomarańczowych, kopru włoskiego lub anyżu, pieprzu angielskiego utłuczonego i pieprzu ordynarnego, postawić na węglach żeby dobrze się zagrzał, na nieckę mąki wsypać półtory kwarty, reszta niech będzie na pogotowiu, dołek we środku zrobić i w ten najgorętszy miód wlać, łyżką drewnianą zabierać mąkę i z miodem rozbijać. Wziąść potem potażu tłuczonego miałko ze trzy szczypty i wsypać w to ciasto mieszając dobrze, gdy się wymiesza należycie, zabierając mąki trochę gnieść rękami jak na kluski, aż przywierać do ręki przestanie; robić pierniczki i na opłatek lub na blachę mąką wysypaną układać; w piec po chlebie wstawić, gdyby piec był dość gorący to tylko luft odetkać, z początku będą blade, ale jak za kwadrans się nie zarumienią, to dopiero piec zatkać i zaglądać co kwandrans; wysadziwszy, nie trzeba ich ruszać aż wystygną.

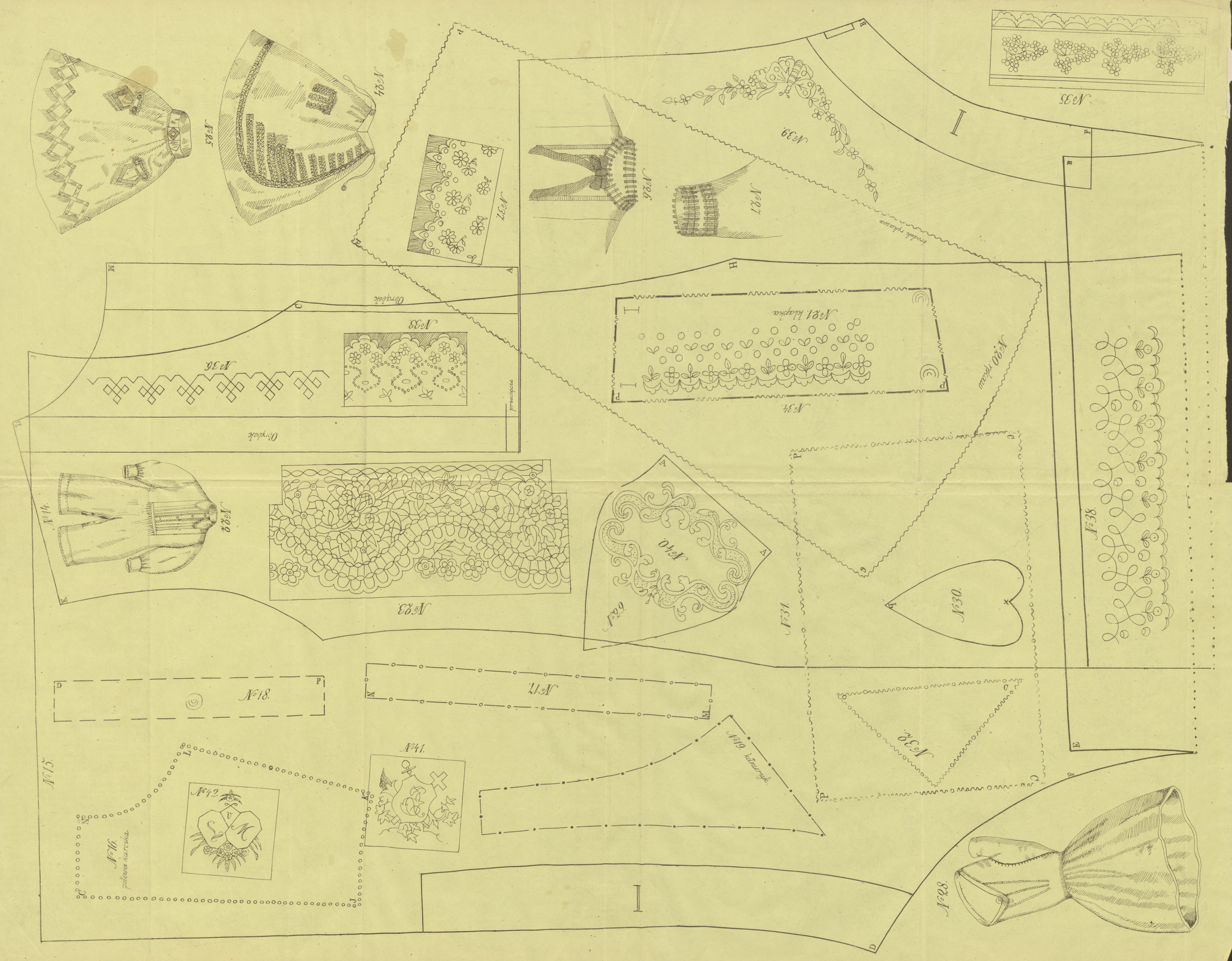
### Sok z żurawin.

Narwawszy żurawin trzeba ich ręką lub łyżką dobrze wygnieść, potem wlać w worek, ten przywiązać do czego i podstawić naczynie, aby sok pomaleńku ściekał, zlać następnie w szklanne naczynie, żeby w nim dni kilka stał, dla wyklarowania się z mętów, potem w rądlu pobielanym smażyć, w proporcje cukru dołożywszy; smażyć póki nie zgęstnieje, a szumowiny zdejmować. Chcąc mieć galaretę, dłużéj smażyć, sok w butelki zlany chować trzeba w suchem i chłodnem miejscu, służyć może do wody i do ponczu zamiast cytryny. Można go nie syropować, tylko przegotowany zlać w czyste butelki. Żurawiny najlepsze zbierane w Marcu, gdy śnieg stopnieje.

### Ziele tatarskie.

Trzeba uważać, aby ziele nie było łykowate, ale miękkie i białe, obrać je, pokrajać i w zimną wodę włożyć. Wstawić wody w garnku, gdy się ta zagotuje, ziele wyjęte z zimnéj wody w nią włożyć i gotować do miękkości. Wyjąć potem i znów w zimną wodę włożyć, a wyjąwszy, z zimnéj wody wycisnąć w serwecie lub w chustce czystéj. Cukru bierze się do upodobania, trzeba go zimną wodą zmoczyć, zrobić syrop gęsty i w nim ziele smażyć tak długo póki spróbawawszy przelewania łyżką syropu nie będzie widać żyłek jak nitki, gdyż wtedy dopiero ma dosyć. Wyjmując ziele, każdy kawałek w syropie maczać i na papierze suchym kłaść, tak żeby się nie dotykał jeden z drugim, potem w letnim piecu osuszać.


KÓŁKO DOMOWE
M: Sierpień 1866 rok.
N°1
N°2
N°3
N°4
N°6
N°7
N°8
N°9
N°10
N°11
N°12
N°13



No 14.
No 15.
No 16. połowa karczka
No 17.
No 18.
No 19. kołnierzyk
No 20. rękaw
No 21. klapka
No 22.
No 23.
No 24.
No 25.
No 26.
No 27.
No 28.
No 29.
No 30.
No 31.
No 32.
No 33.
No 34.
No 35.
No 36.
No 37.
No 38.
No 39.
No 40.
No 41.
No 42.
Obrąbek
Obrąbek